POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 6-go marca 1943r.* **Rok V. Nr. 9**

NIESPODZIANA ROZMOWA

Jestem pod wrażeniem rozmowy z Polakiem, który nigdy Polski nie widział.

Rozmowa była zupełnie przypadkowa. Dwóch żołnierzy amerykańskich zatrzymało mnie na ulicy wielkiego szkockiego miasta, pytając o drogę do jednego z polskich urzędów wojskowych. Pytali po angielsku. Sądziłem, że udzielenie odpowiedzi wyczerpie naszą rozmowę, tak zwykłą na ulicach wielkiego miasta. Okazało się, że pytanie o drogę było jedynie pozorem dla nawiązania właściwej rozmowy.

Gdy po udzieleniu informacji, zamierzałem się oddalić, jeden z żołnierzy, w którym od pierwszej chwili wyczułem coś bardzo swojskiego, zapytał mnie nagle, czy jestem Polakiem. Pytał po angielsku i z pewnym zakłopotaniem. Ale gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, zażenowanie minęło, ton głosu się zmienił, a w oczach błysnęła radość.

Trudno opisać tę dumę z jaką mówił, że on też jest Polakiem. Przyznaję, że dziwnie zadźwięczały mi te słowa wypowiedziane w obcej mowie. I on widocznie wyczuł jakiś zgrzyt w tym, że wobec Polaka przyznał się do swej polskości w obcym języku. Natychmiast bowiem poprosił, by mówić do niego po polsku, dodając, że dobrze rozumie nasz język, ale sam mówić nie może, gdyż przez pięć ostatnich miesięcy nie powiedział po polsku ani słowa.

Prowadziliśmy więc naszą rozmowę w dwóch językach, on mówił po angielsku, ja po polsku. Po kilku chwilach tej dwujęzycznej rozmowy, orientuję się, że jestem doskonale rozumiany i że z tą jego polszczyzną nie jest tak źle. Gdy mówiąc o swych stosunkach rodzinnych wyznaje mi, że w domu z ojcem, matką i braćmi rozmawiał tylko po polsku i że jego ojciec używał obcego języka jedynie poza domem, zachęcam go, by próbował mówić do mnie po polsku.

Widzę, że obawia się śmieszności, ale próbuje. Początkowo idzie mu to z trudem, brakuje mu słów, a zdania się nie kleją. Na twarzy maluje się wysiłek myślowy poszukiwania potrzebnych wyrazów. Po kilku minutach zaczyna mówić coraz płynniej i lepiej. Nabrawszy odwagi, mówi coraz szybciej i z coraz większym zapałem. W trakcie rozmowy zapytałem go co chciał załatwić w biurze wojskowym, o które się dowiadywał, a on mi na to powiada:

—"Ja nie mam tam żadnej sprawy do załatwienia, ale tam są pewnie żołnierze polscy. Ja ich szukam, bo chcę pogadać ze swoimi. Chcę, żeby mi powiedzieli, jak Polska wygląda, bo ojciec mówił, że ona teraz inaczej wygląda, niż za jego pamięci. A może, który z tych żołnierzy zna powiat K . . . , gdzie się mój ojciec urodził. A może pan zna tę miejscowość? Ojciec dał mi dokładny adres i kazał poszukać ludzi stamtąd."

To mówiąc sięgnął do portfelu, z którego wyjął pieczołowicie złożoną kartkę białego papieru z wypisanym na niej adresem. Adres napisany był w dobrej polszczyźnie i zawierał wszystkie niezbędne szczegóły, jak powiat, gminę i nazwę rodzinnej wsi jego ojca. Gdy wyjmował tę kartkę, z portfelu wysunęła się fotografia przystojnej młodej kobiety. Pokazując mi ją powiedział z uczuciem dumy:

—" To jest też polska dziewczyna." — Wracając do początkowego tematu mówił dalej: — " Ja urodziłem się w Ameryce i w Polsce nigdy nie byłem. Gdy opuszczałem Amerykę, ojciec przy pożegnaniu powiedział mi, że jak pobijemy Niemców, to muszę pojechać i poznać Polskę. Kazał mi nawet zostać tam po wojnie przez pół roku i obiecał przysłać na to pieniądze." — W pewnej chwili zmienia temat i rzuca pytanie: — " Panie, a co słychać w kraju? "

Czyż nie wzruszająco brzmią te słowa w ustach człowieka, którego oczy nigdy tego " kraju " nie oglądały? W dalszej rozmowie prosił mnie o podanie mego nazwiska, mówiąc, iż chce posłać je ojcu, który ucieszy się, że jego syn rozmawiał " z polskim oficerem z Polski."

Wkrótce nasza rozmowa zamieniła się w jednostronny monolog płynący wartkim potokiem z jego ust. Mówił o sobie, o rodzinie, swojej służbie wojskowej. Pytał o rzeczy dotyczące spraw polskich, a w pewnej chwili zadał mi naiwne pytanie:

—" Czy to prawda, że Niemcy tak bardzo nie lubią nas, Polaków? "

Powiedział mi, że gdy przyjechał do Szkocji, nie wiedział, że jest tu polskie wojsko. Dopiero parę dni temu dowiedział się o tym od Szkota, w którego sklepie zobaczył orzełki i wojskowe guziki polskie. Zdziwił się tym bardzo i zapytał kto to od niego kupuje. I dopiero ten Szkot mu powiedział, że tu są żołnierze polscy i że " jest ich dużo, tylko trzeba poszukać." Skorzystał więc z pierwszego zwolnienia z obozu i przyjechał tu, by poszukać żołnierzy polskich. Jest jednak zawiedziony, bo trudno ich w tym mieście znaleźć. Podobno w Edynburgu jest więcej Polaków, więc tam wybiera się następnym razem.

Gdy żegnałem się z tym żołnierzem amerykańskim czułem, że ściskam dłoń patrioty i dobrego Polaka, który w mundurze amerykańskim będzie bił się nie tylko za Amerykę, ale tak samo dzielnie bił się za Polskę, jak jego rodacy w mundurach polskich. Pożegnałem tego Polaka, który w Szkocji szukał Polski, z uczuciem sympatii i szacunku.

Do Wielkiej Brytanii przybywają obecnie dziesiątki a może i setki tysięcy żołnierzy amerykańskich, wśród których jest wielu obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia. Trudno jest oczywiście określić dokładną ilość Polaków przybyłych tu z wojskami amerykańskimi. Co więcej, trudno jest nawet powiedzieć, czy jest ich tu kilka czy kilkanaście tysięcy. Nie mniej jednak, sądząc z tego, co powiedział mi mój rozmówca oraz opierając się na wzmiankach prasowych, można przypuścić, że jest ich nie mniej niż 3 — 4% ogólnej ilości przybyłych tu wojsk amerykańskich. To znaczy 3 do 4 tysięcy Polaków na każde 100 tysięcy wojska. Wydaje mi się, że jest to liczba dość pokaźna, aby się nią zainteresować.

Nie jesteśmy wprawdzie we własnym kraju i sami korzystamy z gościnności innych, ale to nie zwalnia nas od obowiązku nawiązania kontaktu ze wszystkimi Polakami, którzy przybywają tu dla walki o nowy porządek świata i o nową w nim Polskę. Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że mamy w tym kraju własny rząd i wojsko, a to pozwala nam być gospodarzami w stosunku do Polaków obywateli amerykańskich i żołnierzy Stanów Zjednoczonych.

Nadarza się okazja, której nie wolno nam zmarnować. Nadarza się okazja zbliżenia i nawiązania bezpośredniej łączności między Polakami z Polski i z za Oceanu. Zbliżenie to przyniesie niewątpliwe korzyści nie tylko dla obu stron, lecz przede wszystkim dla kraju. Bezpośrednia wymiana myśli pozwoli nam poznać i zbliżyć się wzajemnie, usunie tu i ówdzie istniejące nieufności oraz sprostuje wiele mylnych pojęć zarówno w sprawach dotyczących Polski, jak i życia Polonii zagranicznej.

Główne jednak zadania i obowiązki ciążyć będą oczywiście na nas, Polakach z Kraju. Do nas bowiem należy uświadomić naszych rodaków nie tylko o warunkach życia i pracy w Polsce, nie tylko o rozwoju i osiągnięciach naszego kraju w ciągu dwudziestolecia jego niepodległego bytu, ale i o tym, dlaczego i o co prowadzimy wojnę i jaką chcemy mieć Polskę po jej zakończeniu.

Tych, których wypadki wojenne rzucą na ziemię polską, przygotujmy do tego, co w tej Polsce zastaną. Tym zaś, którzy nie będą mogli zobaczyć Polski na własne oczy, skreślmy realny obraz jej życia i potrzeb. Pamiętajmy przy tym, że uświadomienie w sprawach polskich kilkunastu tysięcy Polaków, z którymi nawiążemy tu ścisły kontakt, to uświadomienie kilkudziesięciu tysięcy ich krewnych i przyjaciół pozostałych w Ameryce.

Pozostając lojalnymi obywatelami Stanów, mogą oni oddać sprawie polskiej istotne usługi, mogą oni i powinni reprezentować w opinii amerykańskiej polski punkt widzenia i polski interes narodowy.

Niewątpliwie praca nad zorganizowaniem tego kontaktu w cudzym kraju i do tego z żołnierzem innego państwa będzie trudna. Ponieważ jednak gra jest warta stawki, powinniśmy dołożyć wszelkich starań, aby zamierzony cel osiągnąć.

Wydaje mi się, że w akcji tej powinny wziąć czynny udział przede wszystkim pojedyncze osoby, którym w ten lub inny sposób udało się nawiązać znajomość z żołnierzami armii sprzymierzonych polskiego pochodzenia.

Niech gazeta, tygodnik lub książka polska znajdzie się, jeśli nie w ręku każdego żołnierza, to przynajmniej w każdym oddziale, w którym są Amerykanie polskiego pochodzenia. Niech żołnierze Polskich Sił Zbrojnych nawiążą z nimi korespondencję i prześlą od czasu do czasu drobną pamiątkę polską. Nie wątpię, że nie jeden z naszych oddziałów chętnie zorganizuje i umożliwi spędzenie na jego terenie krótkich urlopów pojedynczym żołnierzom lub ich małym grupom. Jestem przekonany, że każdy drobny objaw naszej pamięci sprawi radość naszym rodakom przebywającym, jak my, z dala od swych najbliższych i odbije się szerokim echem wśród Polonii amerykańskiej.

Postarajmy się o to, aby w przyszłości nie oni nas szukali na ziemi brytyjskiej, ale my ich. Dołóżmy starań, abyśmy już nie byli pytani o to, czy " Niemcy nas nie lubią " i wyjaśnijmy, że my nienawidzimy Niemców nie mniej, niż oni nas i że walczymy z nimi nie tylko o odbudowę państwa, ale o istnienie całego narodu, o wolność nie tylko własną, ale tych wszystkich krajów, którym Niemcy zagroziły bezpośrednio lub pośrednio, o wolność Polski i Ameryki.

STEFAN ZAREMBA

rys. Jan Poliński



Szkic sytuacyjny

KONTR-ATAK W TUNISIE

Uderzenie niemieckie w Tunisie w stronę Kesserine poprzez przełęcz tej samej nazwy, nie było ofensywą, ale *wypadem.* Sądzić należy, że nieprzyjaciel chciał zbadać, jakie siły zgromadzili Amerykanie i po części wyszczerbić ostrze przyszłego uderzenia amerykańskiego. Niemniej jednak ten pancerny wywiad niemiecki /udział Włochów był bodaj nieznaczny w tym uderzeniu/ dowiódł, że Rommel czy von Arnim, czy też obaj do spółki, są przeciwnikami, z którymi trzeba się liczyć. W doniesieniach brytyjskich z frontu zaznacza się nuta optymizmu. Wskazuje to niewątpliwie na wzrost sił, szczególnie jeżeli chodzi o *zasoby lotnicze.* W danej chwili nie wiemy jeszcze jak pójdzie uderzenie anglo-amerykańskie, ale fakt, że *oddziały Montgomery'ego nadgryzają już właściwą linię Mareth* zdaje się dobrze świadczyć o postępach angielskich.

Wydaje się, że Rommel w dalszym ciągu gra na czas i że uzyskanie *zwłoki* jest dla niego rzeczą bardzo istotną. Pokrywa on przypuszczalnie wielkie przygotowania obronne we Włoszech oraz na Bałkanach. Jak długo potrafi się utrzymać w Tunisie, nie sposób osądzić. Woiskowy sprawozdawca "*Daily Mail'u*" Liddell Hart w artykule z dnia 1-ego marca wyraża sąd, że "*Rommel is doomed.*" Nie widzi on żadnych możliwości dla Rommla, którego prędzej czy później czeka, — zdaniem Liddell Harta — porażka i przypuszczalna ewakuacja. Swoboda manewru Rommla staje się niewątpliwie *ograniczona.* Ale czy istotnie nie ma on już żadnych kart w ręku? Jakie są *wiosenne* zamiary Hitlera? Czy ostatnie pogłoski o *Hiszpanii* oraz alarmy w sprawie *Turcji* są tylko alarmami? Czy teraz znikną i te wyspy neutralności, która wydaje się być jednak skazana na zagładę w tej wojnie /a zapewne zniknie po wojnie w ramach jakiegoś obszerniejszego systemu bezpieczeństwa, który nie będzie uznawał neutralności, albowiem wszystkie państwa będą musiały przyjąć zasadę odpowiedzialności/. Alarmy co do *Szwecji* również są wcale żywe.

Kierunek jakiegoś wiosennego uderzenia niemieckiego /Hiszpania-Turcja?/ nie jest wyjaśniony. Wydaje się dalej, że armia niemiecka będzie musiała podjąć swoje zadania na froncie wschodnim. Tym razem będzie ona stosowała *inną taktykę*: zdobycze terytorialne okazały się zawodne, sztab niemiecki nie spodziewa się już chyba spełnienia niemożliwości — podbicia Rosji. Zadaniem Wehrmachtu będzie zatem *niszczenie żywych sił sowieckich*, próby dobrania się do ośrodków oporu sowieckiego. Nie wiemy jak się tego rodzaju plany dadzą przeprowadzić. Możliwości stosowania "*uników*" na olbrzymim ringu rosyjskim, jeśli wolno użyć tego rodzaju porównania z dziedziny boksu — są tak ogromne, że pomimo wszelkich wysiłków armii niemieckiej i ta nowa taktyka Wehrmachtu *zawiedzie* na całej linii.

FRONT KRZEPNIE CHWILOWO

Doniesienia z frontu wschodniego świadczą, że mamy do czynienia z pewnym krzepnięciem niemieckiego oporu. Walki stają się coraz bardziej zawzięte, w niektórych punktach armia niemiecka stara się przejść do przeciwuderzenia. Toczą się boje o stanowiska, lotnictwo niemieckie stara się odzyskać swoją przewagę. Przychodzi mu to bardzo trudno, albowiem wydaje się, że lotnictwo sowieckie miało w ostatnich miesiącach przewagę aż 50-*ciu procent.* Niemcy dysponowali na froncie około 4000 maszynami podczas gdy strona sowiecka miała ich pono 6000. Niemcy mieli natomiast przewagę w czołgach, ale przewaga ta wyszczerbiona została już bodaj w listopadzie ub.r. Przewaga rosyjska *w artylerii* wszelakiego rodzaju i kalibru wydaje się rzeczą oczywistą. Przewaga *ludzka rosła* w ciągu listopada oraz grudnia.

Sprawozdawca wojskowy "*Daily Telegraphu*" generał Martin zaznacza, że powodem zahamowania postępów sowieckich jest przede wszystkim szybkie pojawienie się *odwilży.* Generał Martin jest zdania, że w wielu wypadkach artyleria rosyjska oraz sprzęt, który używał trakcji sań, utyka w błocie i roztopach. Należy zatem przestawić możliwie szybko trakcję sań na trakcję normalną. Podobnie trzeba przestawić samoloty używające płoz na samoloty do użytku "letniego."

Wszystko są to zadania tak poważne, że nawet najlepiej przygotowana armia świata musi zatrzymać się i "*przeredagować*" swoje pogotowie. Generał Martin zaznacza, że armia niemiecka ma obecnie na swoim zapleczu o wiele lepszą oraz gęstszą sieć kolejową, podczas gdy armia sowiecka korzystać musi z mocno zrujnowanych linii a przeważnie trzeba je odbudowywać, albowiem Niemcy starali się zniszczyć, co się dało.

Chwilowa przerwa wykorzystana będzie przez obie strony dla odpowiedniego przygotowania fazy wiosennej. Nie sposób dzisiaj prorokować jak się ułoży *strategia* obu stron. Znawcy wojskowi wszystkich krajów oczekują nowych niespodzianek na froncie wschodnim, który żadną miarą nie może się stać "skrzepem."

OFENSYWA POWIETRZNA

RAF utrzymuje swoje działania wobec Rzeszy oraz w stosunku do krajów okupowanych. Niedawny nalot na Kolonię, największy od czasu t.zw. "cztero-cyfrowego," przekonał Niemców *o wzroście potęgi lotniczej Wielkiej Brytanii.* Przez czas jakiś, gdy Afryka pochłonęła wielkie ilości maszyn, ofensywa brytyjska w stosunku do Rzeszy wyraźnie osłabła.

Dzisiaj, pomimo dalszego i to bardzo poważnego zasilania frontu afrykańskiego, pomimo olbrzymich wysyłek do Rosji — lotnictwo brytyjskie *stać na wielkie naloty*, które są zapewne tylko "*wprawką*" dla znacznie mocniejszych uderzeń wiosennych.

Dowodzi to, że na wiosnę będziemy świadkami wielkiej ofensywy anglo-amerykańskiej z baz brytyjskich i że uderzenia w ośrodki niemieckie staną się *stałym* niejako punktem programu.

TYDZIEŃ ARMII BRYTYJSKIEJ

B.B.C. urządza tydzień armii brytyjskiej, który trwa do dnia 6-ego marca. Inicjatywa ta zasługuje na pełne uznanie. *Armia brytyjska jest godna najwyższej pochwały*: powstała ona dosłownie w *ogniu* tej wojny. Po pierwszym wyjeździe do Francji, przepadła ona niemal w ewakuacji *z Dunkierki.* Przepadł jednak tylko sprzęt — ocaleli ludzie, ponad 300.000 *ludzi*, którzy widzieli wojnę nowoczesną na własne oczy, którzy przekonali się o *brakach armii* i pragnęli zmierzyć się na nowo z "*Jerry'm,*" ale już w innych warunkach.

Ta armia budowała się śpiesznie w oparciu o wzmagającą się *produkcję wojenną* fabryk i zakładów Wielkiej Brytanii. Nowa armia otrzymała czołgi, otrzymała samochody pancerne, *bren guns, tommy guns* i t.d. Zaczęła ona rosnąć na sile, nabierać doświadczenia. Pola afrykańskie były dla niej wielkim *poligonem.* Ale i w wypadach "*Commandos*" uzyskiwała ona cenne doświadczenia bojowe. Jej "*Airborne Troops*" rosły również. Tak więc na wszelkich odcinkach armia brytyjska w niebywale szybkim czasie stała się w pełni armią nowoczesną.

Wykazała ona swój *hart* w bitwie o Egipt, a potem o Libię. Dzisiaj wykazuje ona swoje wielkie wartości w walkach o Tunis. Armia ta będzie gotowa do uderzenia na kontynent i zdaje sobie sprawę, *że najcięższe zadania czekają ją dopiero.* Można mieć jednak pełną ufność, że armia ta spełni swoje zadania. Składa się ona z rzetelnych obywateli i Anglia bynajmniej nie zamierza się szczycić tym, że zmieniła się w społeczeństwo *militarystyczne.* Pokazuje ona, że "cywile," ożywieni świadomością o co walczą, ludzie zdrowi, z hartem moralnym, są żołnierzami równie dobrymi jak ci żołnierze Trzeciej Rzeszy, którzy odbijają sobie nogi w *Parademarsch* /po angielsku *goose-step*, co brzmi znacznie mniej paradnie/.

Armia brytyjska może nauczyć niejedną armię doskonałego stosunku oficerów do żołnierza, dobrych manier i kultury — tych wszystkich wartości, które nie powinny znikać z armii. Anglicy wychodzą bowiem z założenia, że *nawet najokrutniejsza wojna nie może prowadzić do zaniku dobrych obyczajów, do schamienia i do rozpanoszenia tych objawów, które grożą naszej skołatanej kuli ziemskiej — spospolicenia, upadku obyczajów.*

Londyn, 1 marca 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

22 lutego: "Gdzieś w Szkocji" otwarty został piąty kolejny kurs Szkoły Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej.

23 lutego: Prezydent R.P. odbył dłuższą naradę z Naczelnym Wodzem Gen. Sikorskim.

24 lutego: Biskup polowy Wojsk Polskich ks. Gawlina przedstawiony został Prezydentowi Rooseveltowi przez ambasadora R.P. Ciechanowskiego w Waszyngtonie. Prezydent Roosevelt w ciągu przyjaznej rozmowy wykazał m.in. duże zainteresowanie losem żołnierzy polskich.

25 lutego: Rada Ministrów pod przewodnictwem gen. Sikorskiego powzięła uchwałę w sprawie stosunków polsko-rosyjskich podkreślając, że pomawianie Polski o jakiekolwiek plany nieprzyjazne wobec Rosji jest zupełnie absurdalne.

"Rząd R.P. — brzmi końcowy ustęp oświadczenia — reprezentując Polskę w granicach w jakich podjęła ona, pierwsza z pośród sprzymierzonych narodów, narzuconą jej wojnę, zajmuje od chwili zawarcia układu polsko-sowieckiego 30 lipca 1941, niezmienne stanowisko, że w sprawach granic między Polską a Rosją Sowiecką obowiązuje status quo z przed 1 września, 1939, i podważanie tego stanowiska, zgodnego również z Kartą Atlantycką uważa za szkodliwe dla jedności Sprzymierzonych.

Uznając ścisłą współpracę i zaufanie wzajemne wszystkich Aliantów za czynnik nieodzowny dla zwycięstwa i trwałego pokoju, Rząd R.P. potępia wszelkie fakty i sugestie zmierzające do rozbicia lub osłabienia jednolitego frontu Narodów Zjednoczonych."

26 lutego: Odbyło się spotkanie Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego z gen. Sir Alan F. Brooke, szefem brytyjskiego Imperialnego Sztabu Generalnego.

—W nocy z 25/26 polskie załogi bombowe kładły miny na wodach nieprzyjaciela. Wszystkie załogi powróciły do bazy.

—Polskie Dywizjony Myśliwskie osłaniały dwie wyprawy bombowe. Do spotkań z nieprzyjacielem nie doszło. Wszystkie polskie samoloty powróciły.

27 lutego: W nocy z 26/27 Polskie Dywizjony Bombowe bombardowały Kolonię. Wszystkie polskie załogi wróciły do baz.

1 marca: W nocy z 28.II.-1.III. polskie dywizjony bombowe brały udział w nalocie na St. Nazaire. Wszystkie załogi polskie powróciły.

Nowości lotnicze

WYSTĘP "CYRKU RICHTHOFFENA" W TUNISIE

Nurkowce znowu wykazały, że są doskonałym sprzętem bojowym przeciw żołnierzom niedostatecznie zaprawionym w nowoczesnej walce. Cyrk Richthoffena, używany w specjalnych okazjach dla przełamywania frontu, sprowadzony do Tunisu dał piękne przedstawienie. Potwierdził tezę pomału powoli przyjmowaną przez wszystkich specjalistów. W efekcie wojska amerykańskie, "zielone," niezaprawione do walki, doznały przykrej porażki. Porażka poskutkowała i napewno żołnierz amerykański, bombardowany przez nurkowce po raz drugi, okaże podobną wytrzymałość, jak jego kolega brytyjski. Żołnierz amerykański jest bardzo odważny, to wiadomo, lecz wiadomo również, iż zanadto ryzykuje, ufny we własną przebojowość. Jednak na polu bitwy nie dosyć mieć odwagę, trzeba być otrzaskanym z ogniem, a nadto co najtrudniejsze, ze zmiennymi warunkami nowoczesnego boju.

Coprawda ów sławny cyrk Richthoffena wystąpił w Afryce w zmiejszonym składzie. Miał wszystkiego 50 nurkowców, a główną rolę odegrali myśliwcy przystosowani do walki z ziemią — nowa broń niemiecka. Bowiem Niemcy w tej chwili powoli przechodzą z produkcji nurkowców na ten drugi typ, uważając, że daje znacznie lepsze rezultaty, a nie jest tak wrażliwy na broń przeciwlotniczą. Kierujące koła "Luftwaffe" już tamtego roku zadecydowały, że nurkowce rolę swą spełniły i pora im zejść ze sceny. W chwili, kiedy w Niemczech zapadały te decyzje, w Wielkiej Brytanii toczono właśnie w Izbie Gmin i na łamach prasy gigantyczne boje — o nurkowce dla wojska lądowego.

SPRAWA NURKOWCÓW W WIELKIEJ BRYTANII

Tutaj musimy podkreślić z przyjemnością — bowiem nieraz sami dawaliśmy wyraz powątpiewaniu w użyteczność nurkowca — że polityka Air Ministry i sztabów R.A.F.'u szła we właściwym kierunku. Nurkowce — tylko dla marynarki, dla wojska lądowego natomiast — szybkie, ciężkozbrojne maszyny myśliwskie, działające przeciw ziemi, jednakowoż zdolne także obronić się same przeciw myśliwcom a przed pociskiem obrony przeciwlotniczej chronione swą szybkością i taktyką zaskoczenia. RAF bronił się przeciw nurkowcom jak mógł, broniąc się — oszczędził życia wielu cennych pilotów. Nie ulegał wpływom opinii, mimo, iż nurkowiec stał się uprzywilejowanym samolotem polityków i to nie zawsze kawiarnianej miary.

Może na przyszłość wyniknie z tego morał: zostawcie co lotniczego — lotnikom.

Lotnicy nigdy nie lubieli nurkowców, mimo iż jest to broń nad wyraz efektowna. Lotnicy ogółem boją się rzeczy, które są zbyt błyskotliwe, podobnie jak nie mają zaufania do ludzi o zbyt błyskotliwym języku. Lotnictwo jako zawód zmienia całkowicie charakter człowieka i wytwarza w nim odrębną psychikę. Przyczyny tej odrębności bynajmniej nie są charakteru mistycznego, są natury realnej. Nie ma w tym niczego nadzwyczajnego.

DUSZA LOTNIKA I NOWY ŚWIAT

Swego czasu Wells pisał już o świecie przyszłym, który mają urządzać lotnicy. Dziś gdy bieg rzeczy pcha świat raźno ku chwili, w której wobec umiędzynarodowienia powietrza, lotnictwo obejmie kontrolę kuli ziemskiej, świat nowy, świat lepszy staje się coraz bliższy i coraz bardziej realny. Nie wszyscy wierzą jeszcze w umiędzynarodowienie powietrza i wskazują palcem na ś.p. Ligę Narodów.

Niewątpliwie droga do ideału daleka, jednak logika wypadków bezapelacyjnie w tę a nie w inną kieruje nas stronę. Dlatego osobiście wierzymy, że tak się stać musi. Do tego świata wspólnoty międzyludzkiej, świata sprawiedliwości i prawdy każdy z nas, lotnik czy nielotnik, tęskni całą mocą swej umęczonej duszy. Gdy wszyscy chcemy jednego i tego samego, gdy zginą ci, którzy zaprzeczają wszelkiej prawdzie i we wspólnocie chcą widzieć wspólnotę niewolnictwa — dlaczegoż tak być nie może?

Tymczasem nowy świat urodził się już w naszych sercach. Każdy kto naprawdę, nie tylko przy szklance whisky, zetknął się z lotnikami, każdy kto miał tę szczęśliwą a rzadką okazję posłuchać tego, co mówią szczerze, dowiedzieć się, co myślą, co ich interesuje i jakie mają pragnienia — przyznać musi, że w każdym lotniku jest zaczątek nowego lepszego świata. Konieczność długiego przebywania w samotności wytworzyła w nich umiejętność formowania głębokiego życia wewnętrznego. Odrębność widoków, które oni na codzień oglądają, a które są całkowicie niedostępne oczom nie-lotniczym, niedostępne i nie do opisania, oddychanie powietrzem o tyle od przyziemnego czystszym, wreszcie krótkotrwałość i przemijalność życia lotniczego — zmienia całkowicie sposób ujmowania spraw toczących się wokół, stwarzając instynkt rozróżniania ważnego od nieważnego, przemijalnego od trwałego.

Zrozumienie faktu, że lotnik musi pracować anonimowo, wytwarza znowu pasję pracy dla pracy. Wiadomo przecież: nigdy człowiek ziemi nie zrozumie pracy lotnika. Ocenić go i wyrazić uznanie mogą tylko koledzy, zamknięty klan wybranych ludzi powietrza. Dlatego każdy, kto chce coś znaczyć, musi być lepszym od innych, mądrzejszym od najmądrzejszych, silniejszym od najsilniejszych. W powietrzu nie ma bujania. Wszystko jest sprawdzalne, realne i dotykalne. Dlatego trzeba pracować rzetelnie i prawdziwie. Odpada kłamstwo. I dlatego tak często usłyszeć można cytowane między lotnikami owo silne, iście Cambronnowskie powiedzenie generała Zagórskiego o charakterze.

ELEMENTY CHARAKTERU

Wszystko w powietrzu jest sprawdzalne i realne prócz przyczyn, dla których jakaś załoga nie wróciła. Cień był i żył, nie ma cienia. W aspekcie tak nagłego odejścia — sprawy życia i śmierci zlewają się całkowicie. Wiadomo tylko jedno, że na to, by nie zejść w państwo zapomnianych cieni — trzeba być autorytetem między swymi. Nazwisko autorytetu żyje potem, cokolwiek by się stało, w ustach licznych pokoleń lotniczych i trwa. Powraca zawsze jako przykład, jako nauka, jako wzór. Mimo, iż taki Haber-Młyński, taki Bastyr, taki Toruń czy Szałas nigdy nie służyli w squadronach "RAF'u," mimo iż nigdy nie latali na nowoczesnych myśliwcach, nieraz — oni, dawno już odeszli, pokazują młodym drogi startów i lądowań, drogi walki i zwycięstwa. Lecz jakże wiele umieć trzeba, ilu miłych chwil wyrzec się, o ilu zapomnieć, by móc wejść w grono tych nieśmiertelnych . . .

Lotnik wysuwa się na czoło swych kolegów jedynie dzięki swym niezaprzeczalnym zaletom. Podporządkowuje się bezapelacyjnie i chętnie każdemu, w którym widzi cechy moralu i wiedzy, wyższe od swych własnych. Uznaje tylko taki autorytet i tylko taki pochwala. Przyszły świat będzie oparty na rządach takich autorytetów, dlatego już dzisiaj lotnicy stali się strażnikami przyszłości. Dziś tymczasem swymi bombami wypalają z ziemi ślady dawnego zakłamania.

Lotnicy noszą już na czole stempel nowych czasów, czasów, o które walczymy. Lecz jeszcze pochodzą z dawnego świata i są obarczeni jego przekleństwem: materialistycznym mędrkowaniem. Choć w cichości, po swojemu materializmem się brzydzą, to przecież nieraz męczy ich i nuży ta niezrozumiała często i dla nich samych odrębność od innych ludzi. Chcieli by być tacy sami jak inni. Wtedy szukając powrotu, do którego nie ma powrotu, stają się bardziej materialni od materialnych, lecz wtedy w gruncie rzeczy są bardzo smutni i nieszczęśliwi.

M. J. GORDON

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1 — 15 lutego, 1943

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 4 prawdopodobnych — 2 uszkodzonych — 1 Osłona wypraw bombowych Atakowanie celów ziemnych na terenie nieprzyjaciela Patrole nocne i dzienne	Łączna ilość samolotów: 93 Główne cele: Hamburg, Kolonia, Lorient Kładzenie min na wodach terytor. n-pla Zwalczanie żeglugi nieprzyjacielskiej Załoga bombowa z D-twa Obrony Wybrzeża w czasie godzinnej walki z 4 JU.88. zestrzeliła prawdopodobnie 1 samolot nieprzyjacielski
Razem do czasu przybycia do Anglii do 15.II.43.	
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 507	Łączna ilość samolotów: 4.714

Święta na morzu



O.R.P. "Ślązak" obchodzi na Atlantyku Święta Bożego Narodzenia 1942 — czytanie ewangelii na pokładzie

Już od pierwszych dni grudnia każdy snuł sobie półgłośno — albo czasami zupełnie głośno — plany spędzenia Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Wszyscy zgodnie dochodzili do wniosku, że powinno wypaść w tym czasie co najmniej czyszczenie kotłów, jeśli nie gruntowny remont. Po wspólnej wieczerzy wigilijnej z załogą, każdy miał zorganizować sobie Święta już na swój "prywatny rachunek."

Tadeusz, odczytując — po raz chyba dziesiąty — list Teresy, w którym go tak ślicznie zapraszała i pisała o swoich przygotowaniach na te ich "wspólne" Święta, czuł, że coś z głębi serca podchodzi mu do gardła, że ogarnia go fala wzruszenia, że wreszcie — żeby nie wiedzieć co — to musi pojechać. Chciał już zaraz omówić sprawę urlopu z zastępcą tak, aby nawet ewentualnie wykręcić się od wspólnej okrętowej Wilii i najrychlej, jak tylko się da wyjechać . . .

Doktór z inżynierem postanowili nieomal jednocześnie i dwugłośnie — tak czy inaczej — zabawić się wesoło.

Zastępca wróżył sobie, że chyba przecież trzecich Świąt z rzędu na morzu nie spędzi. W roku 40-ym — Scapa Flow, w 41-szym — Lofoty, no to teraz napewno "przy ściance."

—"Nie wiem zresztą, co by już sobie o tym pomyślała moja żona, gdyby jeszcze i te przyszło nam spędzać oddzielnie" — zakończył przekonywująco.

Dowódca też wyrażał opinię, że jeśli nie Boże Narodzenie, to Nowy Rok będzie chyba napewno wolny.

Zaczęły się więc świąteczne przygotowania. Zamówiono śledzie, kiszone ogórki i "polską" kiełbasę. Zastępca z komisarzem ustalali menu. Piwniczy-mechanik zamówił alkohole. Wszyscy byli pełni jak najlepszych nadziei.

Na tydzień przed Wigilią dowódca został zaproszony przez admirała na obiad. Dowódca wrócił z obiadu zachwycony i oczarowany — admirałową. Już w czasie wchodzenia na trap zaczął entuzjastycznie opowiadać zastępcy i oficerowi wachtowemu o jej uroku.

—"Jesteśmy na dzisiejszy wieczór zaproszeni na dancing, mam polecenie od razu zaprowadzić panów do stolika admirałowej. Powiadam wam — urocza lady, naprawdę urocza! Poza tym jesteśmy zaproszeni w pierwszy dzień Świąt na obiad do klubu. Widzicie panowie, to najlepszy dowód, że Święta spędzamy w porcie."

Obaj oficerowie wysłuchali z pełnym szacunkiem poematu dowódcy, po czym zastępca — z ledwo dostrzegalnym uśmiechem — zameldował, że za pół godziny odkotwiczenie, więc według wszelkiego prawdopodobieństwa z dzisiejszego dancingu nic nie będzie i wobec tego raczej należy ubrać się nie dancingowo, a sztormowo. Dowódca, lekko speszony, zdążył tylko zauważyć, że przecież admirał też zapraszał, a prawdopodobnie wiedział, że odchodzimy . . . Trzeba więc było przyjąć zachowanie się admirała jako dobry kawał i wkładać sztormową wełnę . . .

I tak wyszliśmy, przekonani zresztą, że po króciutkim konwoju powrócimy do bazy. Tymczasem . . . tymczasem w drodze przyszedł rozkaz opuszczenia konwoju i udania się jak najszybciej do bazy po drugiej stronie Anglii. Co to może być, po co? Przypuszczenia, opinie . . . Może stamtąd weźmiemy konwój i zdążymy na Święta do "*Home, Sweet Home*" . . .

Po przybyciu na miejsce oficer łącznikowy poszedł na ląd zasięgnąć języka. Wrócił tajemniczy i powiedział w sekrecie dowódcy, że prawdopodobnie pójdziemy z konwojem na południe. W dwie godziny później doktór zameldował się u dowódcy z zapytaniem, czy ma szczepić przeciwko tropikalnej gorączce, bo on w sekrecie dowiedział się, że idziemy i t.d. . . . Dowódca udał zdziwionego i pomyślał w duchu, że nie wszyscy synowie Albionu są małomówni, i że opinia ta raczej ich krzywdzi . . .

Noc przestaliśmy na beczce. Zwolnienia na ląd nie było — widać światli ludzie ze starszyzny brytyjskiej znają gadatliwość młodzieży.

Następnego dnia z rana dowódca został wezwany na ląd. Wrócił z kopertą pełną rozkazów i instrukcji. Informacje oficera łącznikowego były prawdziwe. Idziemy na południe. Odkotwiczenie za pół godziny. Tuż przed odkotwiczeniem przyszła poczta, a po odkotwiczeniu, już w ruchu, holownik z prowiantem. Pocztę rozdano na morzu.

Tadeusz drżącymi rękoma rozdzierał kopertę, adresowaną kochanym pismem.

"W sobotę, po napisaniu listu do Ciebie, myślałam przed zaśnięciem o falach, które Cię z Twoim okrętem noszą i o wichrach, które nim mogą szarpać, jak poganka prosiłam je, żeby były dla was przyjazne i żeby Ci pomagały, gdyby oprócz nich, coś jeszcze mogłoby Wam zagrażać. Dziś wieczorem znowu napewno odprawię — oprócz modlitwy — jeszcze jedno takie szamaństwo . . . Nie śmiej się ani nie gniewaj, broń Boże, ja to sobie robię w zgodzie z Bogiem i wiem, że mi tego za złe nie bierze . . . Liczę na naszą gwiazdę i wierzę, że Święta albo Nowy Rok sp dzimy razem. Gdybyś jednak nie mógł przyjechać, to pomyśl sobie mocno o mnie o siódmej w wilię. Będę wtedy specjalnie myślami z opłatkiem przy Tobie, Ty też bądź przy mnie, dobrze? . . ."

Tadeusz — w chwilach, gdy go ogarniało wzruszenie, gdy szczęście mieszało się ze łzami, gdy wspomnienia cisnęły się do serca a marzenia błądziły po manowcach wyobraźni — uciekał często dla znalezienia równowagi pod komin, gdzie stale tkwiła tak zwana "Czwarta wachta kominowa": doktór, komisarz i inżynier. Tam kuły się wiadomości bieżące i prospekty na przyszłość, słowem — opinia okrętowa. Panowała tam zdrowa jurność i często nazbyt jędrny język . . . Tym razem widać i wachta kominowa otrzymała listy i nie była w "regulaminowym" humorze. Doktór wspominał Krosno, inżynier przeciwstawiał mu starożytności Kalisza. Stanęło na tym, że trzeba napić się piwa. Choć mój Boże — gdzie mu tam do Musiałowego w Krośnie, wzdychał doktór . . .

—"Wie pan — mówił dowódca do oficera wachtowego — dostałem dzisiaj list. Niech pan słucha: "Jędrek chodzi już do szkoły i robi duże postępy." Skończy akurat 6 lat w drugi dzień Świąt. Widziałem go ostatni raz w sierpniu przed wojną. Pytał mnie wtedy, dlaczego pada deszcz. Ano widzisz, mówię, bo ziemi chce się pić. A dlaczego ziemi chce się pić? No, zna pan chyba konsekwencję dziecka w zadręczaniu starszych pytaniami. — I dzisiaj chodzi już do szkoły . . . Boże, jak ten czas leci" — kończył już właściwie do siebie.

W nocy przyszedł sztorm. Miało to taki skutek, że zainteresowania okrętowe przesunęły się ze Świąt na pogodę — kiedy przestanie dmuchać. Wszyscy byli zmęczeni. Po "odbębnieniu" wachty i jakim takim obeschnięciu — spać, spać! Niespodzianie w Wigilię zrana sztorm zelżał. Widoczność poprawiła się, wiatr stopniowo ścichał. O godzinie 8-mej razem z pierwszą wachtą weszło i słońce. W chwilę potem przyleciała eskorta lotnicza.

—"Chcemy was sfotografować" — sygnalizował "*Sunderland.*"

—"Dziękujemy i przepraszamy — od trzech dni jesteśmy niegoleni."

—"O.K. Podretuszujemy" — mrugał figlarnie reflektor samolotu.

Razem z barometrem i humory poszły w górę. Przed wieczorem, jednak — kiedy samolot po przesłaniu "*Merry Christmas*" odleciał, miny trochę się wyciągnęły. Wspólną Wilię postanowiono odłożyć do przybycia do portu. Dzisiaj miało być tylko przemówienie dowódcy przez rozgłośnię okrętową.

O godzinie 18-ej załoga zebrała się przy głośnikach.

—"Moi drodzy — zaczął dowódca — Święta Bożego Narodzenia, a specjalnie Wilia, dla nas Polaków, są świętem Rodziny, świętem domowego ogniska. Są one związane na zawsze z ciepłem, które promieniuje z oczu i serc naszych najbliższych, z którymi łamaliśmy się opłatkiem. Są one związane z atmosferą, właściwą tylko naszemu domowi.

—Dzisiaj warunki służby naszej nie pozwalają nam usiąść razem przy wspólnym stole wigilijnym — na okręcie, który stał się teraz naszym domem . . . Więc myśli nasze biegną do Polski — do domów naszych. Dzisiaj w Polsce nie ma ani jednego domu, ani jednej rodziny, która by się mogła doliczyć w swoim gronie wszystkich swoich bliskich. Rozproszeni jesteśmy po wszystkich lądach i po wszystkich morzach. Puste są miejsca, na których zasiadaliśmy przy wspólnej wieczerzy. Puste są już po raz czwarty w czasie tej wojny. Nie-

—Napewno niejedno westchnie-które opustoszały już na zawsze . . . nie, niejedna łza popłynie, gdy oczy matki czy żony zwrócą się na miejsce, które było miejscem Janka czy Adama — miejsce, które dzisiaj jest puste . . . Nakrycie jest, bo przecież oni tam czekają . . .

—Niech jedno jednak będzie nam w tej chwili pocieszeniem, źródłem nadziei i męskiej dumy — fakt, że w tej chwili znajdujemy się na morzu, że płyniemy na polskim okręcie, pod polską banderą, że wypełniając w ciężkim trudzie obowiązek nasz wobec Ojczyzny — przyczyniamy się do przybliżenia tej chwili, kiedy będzie nam dane zająć te puste miejsca przy stołach rodzin naszych. Oby dobry Bóg zesłał ten dzień jak najrychlej. Tego Wam w ten wieczór wigilijny z całego serca życzę."

W mesie przełamano się opłatkiem. Ucałowano się bez życzeń . . . Przy stole nie było doktora. Dowódca znalazł go, nie jak zwykle przy kominie, ale po drugiej burcie, zapatrzonego w purpurę i fiolety, które zostawił zachód.

—"Doktorze — opłatek" . . .

—"Dziękuję panie kapitanie, dziękuję."

Za chwilę przyszedł inżynier. Dowódca dyskretnie wyniósł się na pomost.

—"Adam, nic to, nic to" — mówił inżynier — "Adam, uspokój się."

"Cynik" doktór płakał.

Na niebie ukazała się pierwsza gwiazda . . . Morze już było zupełnie spokojne. Konwój — jak zwykle przed wieczorem — dymił. Eskorta zajmowała nocną pozycję. Tadeusz stał na wachcie i myślał o Teresie. Miał przed oczyma słowa jej listu — "Będę wtedy specjalnie myślami z opłatkiem przy Tobie i Ty bądź przy mnie, dobrze?" — Kochanie, jestem z tobą — powtarzał w myślach, nie zdając sobie sprawy, że usta mu dziwnie drżą.

Na drugim skrzydle pomostu stał dowódca. Patrzył na niebo. Po prawej stronie Orion, po lewej Mars. Ileż to razy okręt szedł kursem na tego legendarnego, rzuconego na firmament, rycerza . . . Ileż razy okręt szedł w poświacie Marsa . . . Ileż jeszcze mil zostało do Polski . . . Na Wigilię u nas też widać Oriona. Siedzą pewnie teraz przy choince i może zagląda im przez okno Orion. Bo e, Jędrek już chodzi do szkoły . . . Tak, lata płyną . . .

Na pomost przyszedł zastępca.

—"Ja tak sobie właśnie myślę, panie kapitanie, co tam z moją żoną. Trzecią Wilię sama . . . Choć inne mają jeszcze gorzej" — dorzucił pośpiesznie.

—"Tak, tak — inne mają jeszcze gorzej" — powtórzył niezwykle miękko i łagodnie dowódca.

Około 8-mej wieczorem rozgłośnia okrętowa ogłosiła — "Przechodzimy przez miejsce zatopienia "Bismarcka." Marynarze śpiewali właśnie: "Bóg się rodzi, moc truchleje" . . .

W pierwszy dzień Świąt postanowiono odprawić nabożeństwo. Martwa fala kołysała trochę, ale to tylko dla pokazania, że to ocean. Niebo było czyste; pachniało już trochę południem. Mimo ściśle przez inżyniera przestrzeganej zasady oszczędzania wody, większość ludzi była ogolona. Niektórzy wystąpili nawet odświętnie — "na granatowo." Załoga zebrała się na śródokręciu. Funkcje kapelana miał spełniać zastępca dowódcy.

Dowódca słuchał w kabinie koncertu Chóru Wojska Polskiego, gdy mu zameldowano, że zbiórka do nabożeństwa gotowa. Po minucie przyszedł z pomostu meldunek, że kontrtorpedowiec na lewym skrzydle konwoju ma kontakt z łodzią, udał się więc na pomost. Nabożeństwa nie kazał przerywać.

Po odśpiewaniu "Kiedy ranne" zastępca zaczął odczytywać Ewangelię Św. Jana, zaczynającą się od słów "Na początku było słowo" . . . Gdy doszedł do: "A słowo ciałem się stało" — kontrtorpedowiec zaczął rzucać pierwsze głębinowe bomby . . .

LEOPOLD MILANOWSKI

CZICZA

Gen Mihajlović, bohater jugosłowiańskiej wojny partyzanckiej zwany jest przez uwielbiającą go ludność "czicza," to jest stryj. Wiersz niniejszy, pióra nieznanego autora, ukazał się w "Ravnogorskiej Omladinie," piśmie tajnym. Nosi ono tytuł od miejscowości Ravna Gora, dziś już historycznej, tam bowiem zaczął się ruch powstańczy podczas wojny obecnej. I w poprzedniej wojnie światowej Ravna Gora odegrała rolę w walkach o wolność Jugosławii.

Śmiały a olbrzymi, jak gór łańcuch owy,
kędy przełęczami wodzi swe kamraty,
wzgardę ma dla zwierza, co nań wszczyna łowy,
i cierpliwie czeka dnia straszliwej spłaty.

Siła ponadludzka zeń płomieniem zieje;
krwawy zbójca od niej cierpi, jak od miecza.
W dal go moc ta żenie i dusz bezlik grzeje,
gdy im łzy wyciska męka nie-człowiecza.

Ani krwi potoki, ani popieliszcza,
ani wróg, co plemię nasze chce ze szlaku
zetrzeć, aby nawet nie zostały zgliszcza —
nic to! . . .
Naród Cziczy słucha — czeka znaku.

A gdy dzień odpłaty zamajaczy sławą
i gdy luty mściciel zjawi się z odpłatą,
każda ścieżka wstęgą będzie wić się krwawą,
kiedy on z powstałą z martwych przejdzie czatą.

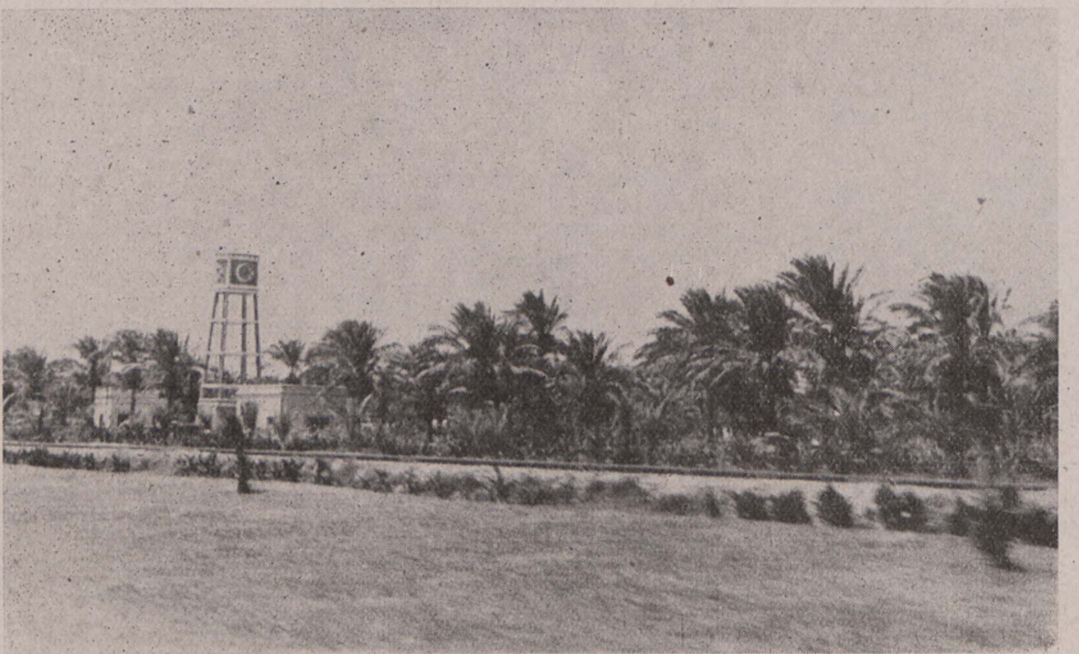
Idź do swego celu — ty, coś z nas największy;
przed twą stalną wolą więzy się zluźniły.
Wdzięczny naród w pieśniach imię twe upiększy
i na wiek przechowa je aż do mogiły.

Z serbskiego przełożył

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Od wrót Tamerlana do Piccadilly

III. Droga do Bagdadu*



Tor kolejki, wieża wodna, trochę palm — oto jak wygląda Khanikin

SARI-PUL-ZUHAB

Długi korowód samochodów skręca w wąską, otoczoną stromymi, niedostępnymi skałami dolinę. Mimo woli przypomina się z lat dziecinnych "Dolina bez wyjścia" czy inna powieść, pełna awanturniczych przygód. I w ogóle to wszystko co się dzieje, te kraje przesuwające się jak w kalejdoskopie, ci ludzie w coraz to inne stroje przybrani i coraz to innym mówiący językiem, ten pejzaż zmieniający się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej — wszystko to wydaje się naprawdę raczej przez księżniczkę Miraway napisaną bajką, niż rzeczywistością . . .

U końca doliny, w głębokim kotle górskim, obóz. Naprzeciw konwoju wychodzi komendant etapu — kapitan Ch., stary znajomy z Warszawy. Co za radość! On przybył tu z zachodu, wojując po trochu we Francji i w Libii. My — od Wschodu, aż z pod granic Pamiru. Tyle mamy sobie do opowiadania, że . . . słów dobrać nie można.

I dlatego, po krótkiej wymianie zdań, milczymy raczej, biegnąc myślą nad Wisłę, ku swoim . . . Myślimy, że gdyby Hitler lepiej znał duszę Polaków, może nie rozpocząłby wojny; a w każdym razie nie uciekałby się do tylu okrucieństw i zbrodni. Myślimy, że gdyby mógł usłyszeć jak biją serca żołnierzy polskich od Taszkentu po Tobruk i od Durbanu po Londyn — zadrżałby ze strachu przed zemstą, jaka go czeka . . .

O świcie opuszczamy obóz w S.P.Z. /Sari-Pul-Zuhab/. Jedziemy w górę na przełęcz Panta — 4000 metrów nad poziom morza. Znów przepaście, wąwozy, zakręty jak szpilka do włosów . . . Kierowcy "*Royal Indian Service Corps*" prowadzą swoje samochody tak pewnie i sprawnie, że nie ma się nawet najmniejszego cienia niepokoju, choć droga wydaje się raczej torem kolejki z "Luna-Parku," niż szosą samochodową . . .

Słyszałem na początku podróży kilka ironicznych uwag na temat indyjskich kierowców. Że to jadą jak za pogrzebem, że tą szybkością to zajedziemy za rok chyba, że polscy szoferzy dopiero by im pokazali, co umieją . . . Uwagi te słabły w miarę posuwania się naprzód, ustępując miejsca rzeczowemu uznaniu. Rzeczywiście — w ciągu 7 dni podróży, w nieprawdopodobnych wprost warunkach, przez niebotyczne góry, piaszczyste pustynie i rzeki pozbawione mostów, nie tylko nie mieliśmy żadnego wypadku, ale nawet żaden wóz nie został w tyle . . . Szybkość jazdy trwała ciągle w granicach 25-40 km /godz., a na etapy zajeżdżaliśmy z punktualnością polskiego pociągu.

Dopiero później — w Palestynie — mieliśmy okazję "podziwiać" wybujały indywidualizm i przesadną brawurę polskich kierowców. Pokazywano nam miejsca, gdzie samochód z żołnierzami "nie trafił na most" /rezultat: 7 zabitych, 14 rannych/, albo narożnik w mieście, gdzie kierowca, pomieszawszy gaz benzynowy z gazem alkoholowym /mieszanka taka bywa bardzo szkodliwa/, wziął widać dom za wolną przestrzeń, zostawiając na placu 2 zabitych i 5 rannych . . .

W IRAKU

Po południu mijamy przełęcz i zaczynamy zjeżdżać po niezliczonych serpentynach — prosto w dół, niemal "z pieca na łeb." Jak na dłoni widać długi wąż samochodów — niczym dziecinne zabawki — wijący się wzdłuż drogi, od szczytu do podnóża. Jedziemy teraz pod eskortą dwóch uzbrojonych "karierów," bo okolica tu niepewna, a napady Kurdów trafiają się od czasu do czasu. Spotykamy też małe placówki wojsk indyjskich, strzegących umocnień, świeżo zbudowanych dla obrony tej jedynej drogi, łączącej Środkowy Wschód z Bliskim Wschodem.

Siedząc przy kierownicy naszego Chevroleta, mijam granicę Iranu i Iraku, podczas gdy por. Scott załatwia swoje formalności. Gdyby mi kto przed pół rokiem powiedział, że na czele kolumny samochodowej prowadzić będę maszynę pod tą szerokością geograficzną, napewno pomyślałbym, że to fantazja lub kpiny . . . Ale są fantazje, które Opatrzność potrafi zamieniać w rzeczywistość . . .

Zjazd się kończy. Za nami pozostaje wyniosła ściana piaskowyżu irańskiego. Przed nami wśród piasków pustyni leży Khanikin. Usłużni Arabowie zmieniają pieniądze, przynoszą smakołyki i pomarańcze. Temperatura wzrasta gwałtownie, potęgując pragnienie. A rozkaz brzmi: Oszczędzać wodę!

Droga biegnie teraz przez pustynię . . . Od ostatniej oazy /kilka zakurzonych palm i kałuża wody/ ujechaliśmy około stu kilometrów i nic prócz piasku dookoła . . . W Rosji mieliśmy 50° mrozu, tu termometr wskazuje blisko 50° ciepła. Przejście dość gwałtowne . . .

Jak okiem sięgnąć piasek i piasek, zlekka przez wiatr sfalowany . . . Wiatr sam przypomina podmuch z kotłowni . . . Ludzie, stłoczeni w samochodach /po 25-30 na wóz/ cierpią nieznośnie. Gdyby choć trochę wody . . .

I nagle w dali, na horyzoncie wykwita piękny, malowniczy krajobraz. Najprzód drobne jeziorka czy stawy, potem kręcąca się serpentyną srebrna rzeka, a nad nią bujny, zielony las . . .

—Woda, woda! — krzyczą z radości w samochodach. — Tam pewno staniemy, będzie można się napić, wykąpać . . .

Ale por. Scott spogląda na mnie z uśmiechem i mówi zwięźle:

—*No water*!

—Dlaczego? — pytam.

—Bo tam żadnej wody nie ma.

—Jak to nie ma? przecież widać . . .

—To miraż . . .

Zaczynam rozumieć . . . Staje mi przed oczyma karawana wielbłądów, zbłąkana w tej pustyni, w czasach kiedy nie było jeszcze drogi i samochodów, kiedy szybkość podróżna nie przekraczała czterech kilometrów na godzinę . . . Co cierpieć musieli ci ludzie, patrząc na takie zjawy . . .

—Nie ma wody. To miraż — tłumaczę na postoju kolegom.

—Ale tam, miraż! Sam pan ma miraże — odpowiada mi kolega-niedowiarek.

—Bujać to my, ale nie nas — mruczy jeden z artystów teatru polowego.

Jedziemy dalej. Rzekę i las widać, jak na dłoni. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności, nie zbliża się, lecz oddala. Samochody, na równej jak stół, asfaltowej drodze, zwiększają szybkość . . . Wszystko na nic . . . I w końcu cały ten piękny pejzaż rozwiewa się w powietrzu ku wielkiemu niezadowoleniu moich niedowiarków . . . Pozostaje jako efekt . . . piasek!

—Szkoda, że się pan nie założył — mówi jeden z oficerów. — Mógłby pan zrobić majątek.

BAKUBA: OBÓZ MOICH MARZEŃ

Kilkaset namiotów rozbitych na piasku. Cysterny z wodą, przywożoną beczkowozami z odległości 30 kilometrów. W około ani drzewa, ani trawki. Upał taki, że zdjęcie hełmu kolonialnego, choć na chwilę, grozi porażeniem. Już jeden z żołnierzy — co zlekceważył ostrzeżenie — leży na piasku. Zabierają go sanitariusze.

Oficer — komendant etapu, lekarz, 3 sanitariuszki, 30 szeregowych — oto polski garnizon Bakuby. Organizacja wzorowa. Ale nie dziwię się tak gościnnie przyjmującemu nas rotmistrzowi, że zarządzenia wydaje głosem nadto nerwowym, że dłoń jego drży lekko, gdy podaje szklankę lub papierośnicę. Siedzi tu na pustyni, w tym zabójczym upale, już od miesięcy. I żyje właściwie tylko nocą, o ile pozwalają na to moskity . . .

Zapada szybki, podzwrotnikowy zmrok. Na niebie ani jednej chmurki. Olbrzymi księżyc srebrzy smętkiem morze piasku, kładzie strome cienie za namiotami. Obóz zaczyna żyć, oddychać . . .

Długo w noc rozmawialiśmy wówczas w namiocie rotmistrza. Siostra K. — znajoma jeszcze z czasów Tockiego szpitala, wpadła na chwilę tylko, bo czuwać musiała przy łożu żołnierza, który padł ofiarą udaru słońca . . . Lód na głowę i zastrzyki — to wszystko co można zrobić. Jakże dziwny los rzucił tę ofiarną i święcie pracowitą, a nieprzeciętnie inteligentną kobietę, niemal wprost z obozów syberyjskich na arabską pustynię?

Rozmawialiśmy o naszych przygodach i przeżyciach, rozmawialiśmy o Polsce. Jasia J. — naprawdę miła i kulturalna artystka, śpiewała nam na przemian polskie i francuskie piosenki. Przyszedł brytyjski oficer łącznikowy, imieniem Roney, wysoki, jakby ssał za młodu wieżę Eiffla, i oczywiście . . . zakochany w Polce. Hindus-lekarz przewracał białkami, zmuszając mnie do tłumaczenia małżonce Lopka swoich kwiecistych komplementów, w których nie było cienia banału, jakim ludzie biali zwykli zdobywać kobiety. A wszystko to było i miłe, i romantyczne, i takie jakieś spokojnie piękne, że jako żywo zapragnąłem tam pozostać.

Marzyło mi się życie bohaterów "Atlantydy" Piotra Benôit, albo "Spahisa" Lotiego. Pustynia — straszna, lecz piękna zarazem, ciągnęła mnie swym trującym czarem, jak kochanka-wampir, o której się wie, że gubi, ale która przyciąga nieodparcie . . . No i jaka wspaniała samodzielność musi być udziałem komendanta takiego posterunku, rzuconego z garścią wiernych żołnierzy w piaski pustyni, pośród koczujących rozbójników i pod piekące niebo południa . . . Jakie dalekie wydają się stąd dowództwo i sztaby, z ich zwykłą atmosferą kasyna i kancelarii . . . Można się tu upić władzą, jak starym winem, można poznać "Sól życia" . . .

Gdzieś w oddali rozległo się nito wycie, ni-to śmiech czy kwilenie dziecka. Zawtórowało mu drugie, trzecie, dziesiąte . . . Z mroków pustyni rodził się ów zew, coraz głośniejszy, krew w żyłach mrożący, a równocześnie pobudzający ciekawość . . . I naraz, wśród wycia, zabrzmiał piekielny, przeraźliwy chichot, jakby stara wiedźma uciekła z Łysej Góry i gziła się z biesami.

Gruchnął strzał karabinowy, wycie zamieniło się w płaczliwy skowyt i umilkło. Zaległa cisza, przesiewana tylko jedwabnym szmerem podrywanego przez wiatr piasku.

—Szakale i hieny — odezwał się rotmistrz. — Ale to głupstwo. Gorszy jest piasek . . . Od tego "grania pustyni" można naprawdę oszaleć . . . O, słyszy pan, nowy akord . . . Idzie Hamsin . . .

Rzeczywiście — pustynia grała. Grała jakąś tęskną, rzewliwą piosenkę. Wiatr trącał struny z piasku ukręcone . . . Może to wampirzyca-kochanka kusiła nową ofiarę? Przecież jeszcze w Teheranie prosiłem o taki przydział . . .

Wyszedłem przed namiot. Księżyc zapalił srebrne światło na bagnecie polskiego wartownika. Jak kolejka-zabawka, przeleciał rzęsiście oświetlony pociąg Bagdad-Khanikin, mącąc grę pustyni blaszanym chrzęstem. Parowóz, wytwór cywilizacji, wyrwał mnie z niebezpiecznego upojenia, w które ciągnęła już arabska Atlantyda . . .

Po kilku godzinach snu, spędzonych pod siatką /moskity/, wyruszyliśmy w dalszą drogę, serdecznie ściskając dłonie rotmistrza i lekarza . . . W południe na horyzoncie ukazało się coś, co już nie było mirażem, choć za miraż — w kolejach naszej tułaczki — uchodzić mogło. Było to miasto Kalifa: Bagdad!

MIASTO HARUN-al-RASZYDA

Bagdad przejechaliśmy "non stop," ze względu na jakieś tam komplikacje dyplomatyczne. Potem, gdy staliśmy obozem o 100 km od miasta, bywały okazje do zwiedzania, ale jakoś nie miałem szczęścia. Ilekroć było miejsce w samochodzie służbowym, uprzedzał mnie któryś z młodych oficerów, interesujący się nie, jak ja, badaniem zabytków starożytności, ale całkowicie nowoczesnymi przejawami tamtejszego folkloru. Bagdad widziałem więc tylko przelotnie.

Ha — trudno! "Odmłodzenie kadry" i tu znalazło swe zastosowanie. Musiałem ustąpić miejsca młodszym. A choć marszałek Wavell twierdzi, że nie ma wieku prekluzyjnego dla wodzów, tak jak nie ma go dla kochanków, bo jest to kwestia czysto indywidualnych sił i talentów — to jednak tym razem Wavell poszedł w kąt, i Bagdad pozostać musiał w sferze marzeń.

Miasto — jak większość tamtejszych — składa się z dzielnicy tubylczej, która nic nie straciła z orientalnego uroku i z dzielnicy europejskiej, o pięknych domach, wielkich kawiarniach i asfaltowych ulicach, na których regulują ruch, ubrani w śnieżną biel policjanci. W lokalach uderza duża ilość ludzi, siedzących na kanapach w kucki i odzianych w piękne, arabskie burnusy. Kobiety zakwefione i niezakwefione. Koledzy opowiadali, że lokale rozrywkowe pierwszorzędne, ale jakoże tego rodzaju instytucje są jednakowe pod każdą szerokością geograficzną, tedy żal mi było raczej, że nie mogłem zabawić się w Kalifa.

Ale w wojsku — "pułkownik strzela . . . rozkazem, a żołnierz kule nosi . . . w ładownicy." Słuchać jest znacznie trudniej, niż rozkazywać. Tego pierwszego trzeba się jednak nauczyć, jeśli chce się być żołnierzem, a nie cywilem, przypadkowo w mundur ubranym . . . Miałem więc wielkie zmartwienie, bo pułkownik uparcie odmawiał wszelkiego współczucia w kierunku . . . Bagdadu.

Cóż było robić? Baśka Wołodyjowska, gdy miała zmartwienie, chodziła się wypłakać do stajni; ja stajni w promieniu stu kilometrów znaleźć nie mogłem. Wypłakałem się tedy pewnej generałowej, przypadkowo tam spotkanej . . .

Ale to, jak mówi boski Kipling, jest już inna historia.

JIM POKER

Wąską taśma asfaltowej drogi przecina pustynię. Widoczne z prawej strony w głębi, wzgórza porośnięte zielenią są tylko — "fata morganą."



---

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Przez piaski Kara—Kum" druk. w nr. 1. i "Śladami Aleksandra" druk. w nr. 6. "Polski Walczącej" z b.r.

W Bagdadzie

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

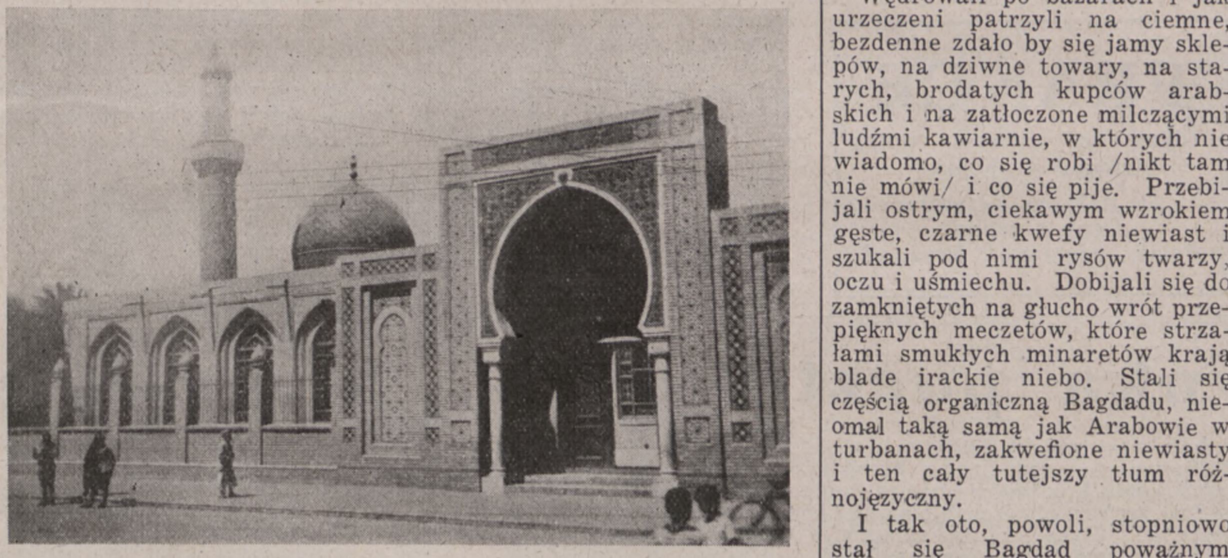


Meczet Hillah

Bagdad, w listopadzie.

Czy pamiętacie bajki z Tysiąca i Jednej Nocy, Czytelnicy mili? Przygody Sindbada-żeglarza? Opowieści czarodziejskie o Cudownym Ptaku i o Kalifie z Bagdadu? Czy nigdy nie słyszeliście słodkich dźwięków muzyki Boildieu, osnutej na tym egzotycznym temacie? Nie widzieliście filmu o tym Kalifie, głośnego filmu z Fairbanksem i z Konradem Veidtem? Czy nigdy nie rozpalały waszej dziecięcej wyobraźni te wszystkie cuda, które kiedyś dziać się miały jakoby w Bagdadzie, tym "najbardziej arabskim ze wszystkich miast arabskich", w tej "niezłomnej twierdzy Proroka"? Czy nie śniliście w dzieciństwie, z czarowną książką przytuloną do piersi i z gorączkowymi wypiekami na twarzy, o smukłych bagdadzkich minaretach, o wąziutkich uliczkach z zakratowanymi oknami, o palmach i zakwefionych niewiastach, o przepychu wschodnich bazarów, o paszach i romantycznych złodziejach, o tym wszystkim, co skojarzyło się niegdyś, przed wielu, wielu laty w wyobraźni waszej z tym jednym magicznym słowem—"Bagdad"?

Jakże wiele widział już w ciągu długich wieków swego istnienia czarodziejski Bagdad . . . Sindbada i kalifów, brodatych opowiadaczy bajek, tych bezimiennych poetów, w których wyobraźni zrodziły się niegdyś najpiękniejsze z baśni świata i wiele, wiele innych rzeczy. Lecz jednego nie widział dotychczas i nie przypuszczał zapewne, że kiedykolwiek obaczy. Polskich żołnierzy. Ich obecności w Bagdadzie nie przewidziały nawet Bajki z Tysiąca i Jednej Nocy, nawet opowieści o Sindbadzie-żeglarzu,



Meczet Moadham

nawet filmy fantastyczne. Sindbad—owszem, kalif—również, ale żołnierze polscy? Ale polskie orzełki na czapkach, jodły Karpackiej Brygady, wymalowane na samochodach, polskie dziewczęta w wojskowych mundurach? Skądże wzięły się one wszystkie w tym prastarym arabskim mieście, w grodzie Proroka i bajek, w "Przedsionku raju prawowiernych"?

Ot, po prostu spłynęły wojska polskie z górzystej Persji na pustynne niziny Iraku, dawnej Mezopotamii, rozlały się szeroko obozowiskami w kraju Tygrysu i Eufratu, Babilonu i Niniwy. Dziwi was to? Nas już tu nic nie dziwi. Byliśmy jeszcze niedawno w centrum Rosji, później—w rozpalonym Uzbekstanie, jeszcze później—w Persji, a oto teraz losy zaniosły nas do Iraku. Za parę miesięcy będziemy może jeszcze gdzieindziej, jeszcze dalej. Polak przywykł już do tułaczki po szerokim świecie. Nic go już nie dziwi, nic mu nie imponuje. Zbyt wiele widział i zbyt wiele przeżył. . . .

W krótki czas po przybyciu wojsk naszych do Iraku rozlało się polskie bractwo po ulicach Bagdadu. Przyglądały mu się początkowo ze zdziwieniem brodate Araby, w długich szatach do ziemi i wspaniałych zawojach na głowie. Powstawała z miejsc na widok naszych klientela przestronnych kawiarń arabskich, przerwała palenie nargili, rozprostowywała nogi z odwiecznego przysiadu i patrzała na nasze orzełki długo i milcząco.

Ale wkrótce przywykli do naszego widoku. Coraz więcej naszych mundurów pojawiało się na wąskich, zatłoczonych uliczkach miasta, coraz liczniejsze stały się samochody z polskimi znakami, coraz częściej słychać było w Bagdadzie polską mowę i coraz to nowe polskie napisy wykwitały na witrynach bagdadzkich sklepów, wywieszane rękami obrotnych, sprytnych kupców ormiańskich i syryjskich.

Niebawem na każdym kroku słyszeć już mogłeś polskie "Dzień dobry." Rzucał ci je mały, brudny obdartus, nagabujący o "bakszysz," i handlarz, zapraszający cię do sklepu i szofer proponujący taksówkę. Coraz więcej willi w nowoczesnych dzielnicach miasta zajmowano na polskie biura wojskowe. Aż wreszcie w sklepach przy głównej ulicy Bagdadu, Raszid, pojawił się tygodnik armii naszej "Orzeł Biały." Polonizacja stolicy Iraku stała się faktem żywym i niezaprzeczalnym. Bagdad pozazdrościł Teheranowi i poszedł w jego ślady.

Ciekawie przyglądali się nasi żołnierze owej "Niezłomnej twierdzy Proroka." Tyle przecież czytali o niej i słyszeli, a oto stała się dla nich nagle najprawdziwszą rzeczywistością, bliską i osiągalną. Błądzili więc pocichu i pokryjomu /oficjalnie nie wolno . . ./ po wąziutkich, mrocznych uliczkach starego miasta, gdzie powały ze zmurszałych belek strzegą zazdrośnie mroku stuleci od inwazji promieni słonecznych, gdzie z dwóch przeciwległych domów można sobie nieomal podać ręce i gdzie szepczą tajemniczo dalekie wieki.

Wędrowali po bazarach i jak urzeczeni patrzyli na ciemne, bezdenne zdało by się jamy sklepów, na dziwne towary, na starych, brodatych kupców arabskich i na zatłoczone milczącymi ludźmi kawiarnie, w których nie wiadomo, co się robi /nikt tam nie mówi/ i co się pije. Przebijali ostrym, ciekawym wzrokiem gęste, czarne kwefy niewiast i szukali pod nimi rysów twarzy, oczu i uśmiechu. Dobijali się do zamkniętych na głucho wrót przepięknych meczetów, które strzałami smukłych minaretów krają blade irackie niebo. Stali się częścią organiczną Bagdadu, nieomal taką samą jak Arabowie w turbanach, zakwefione niewiasty i ten cały tutejszy tłum różnojęzyczny.

I tak oto, powoli, stopniowo stał się Bagdad poważnym ośrodkiem polskim na Wschodzie. Tutejsze Poselstwo, z chargé d'affaires, p. Malhomme, na czele, ma pełne ręce roboty. Trzech współpracowników p. Malhomme'a "z ledwością" wystarcza. Któż tu kiedykolwiek liczył się z takim napływem Polaków? Powoli montują się i inne instytucje polskie. Y.M.C.A. uruchomiła już "Dom Żołnierza Polskiego," gdzie za minimalną opłatą żołnierz nasz może przespać się i posilić. Czerwony Krzyż otwiera w najbliższym czasie Dom P.C.K., gdzie znajdzie pomieszczenie niewielki klub i restauracja. Mieszkają również w tym domu wszyskie "Pestki," zatrudnione w Bagdadzie. W dniach najbliższych, przy głównej ulicy miasta urządzona będzie polska witryna propagandowa.

Propaganda nasza zaczyna tu w ogóle dawać znać o sobie. Wspomniałem już o pojawieniu się pierwszego bagdadzkiego numeru "Orła Białego." Ów tygodnik Armii Polskiej na Wschodzie otrzyma jednak niebawem współtowarzysza. Będzie nim dziennik, który równocześnie



Główna ulica — El Raszid

montuje tu polska propaganda cywilna. Zjechało się do Bagdadu sporo polskiej braci dziennikarskiej i, naturalnie, już znaleźli sobie kawiarnię, w której przy specjalnie zarezerwowanym stole co wieczór niemal odbywają się zaciekłe dyskusje na tematy polityczne i . . . potoczne. Proszę bardzo, całkiem jak u siebie, w kraju.

Wypadkiem dnia i zarazem "clou jesiennego sezonu bagdadzkiego" był niedawny koncert symfoniczny, jaki orkiestra reprezentacyjna Armii Polskiej na Wschodzie dała w sali teatru miejskiego. Zjawiła się na ten koncert cała śmietanka towarzystwa bagdadzkiego: członkowie gabinetu, korpus dyplomatyczny, najwybitniejsi przedstawiciele społeczeństwa miejscowego, liczni oficerowie polscy i brytyjscy. I po raz pierwszy chyba, odkąd istnieje to miasto "Proroka i jego najwierniejszych wyznawców," popłynęły tu dźwięki szopenowskiego Poloneza, uwertury z "Halki" i polskich pieśni ludowych. Za pośrednictwem natchnionych melodii naszych twórców zetknął się po raz pierwszy ten dziwny, swoisty świat z wielką i świetną kulturą polską, reprezentowaną w danym wypadku przez Szopena, Moniuszkę i in. Koncert zyskał pełny sukces. Całkowity dochód, bardzo pokaźny, zasilił fundusze P.C.K. oraz Czerwonego Półksiężyca.

W ślad za tym pierwszym koncertem nastąpią niebawem dalsze. Będzie również występował "Teatr Żołnierza Polskiego," co w tym, najzupełniej pozbawionym wszelkich rozrywek /prócz jednego tylko kina/, mieście, będzie nielada sensacją i da bez wątpienia tutejszej inteligencji jakie takie pojęcie o naszych możliwościach w tej dziedzinie.

Ruszyła też z miejsca wojskowa propaganda filmowa. W tutejszym Domu Żołnierza Polskiego odbyło się kilka pokazów krótkometrażowych filmów z życia Armii Polskiej w ZSRR, które tak wielkim powodzeniem cieszyły się w Teheranie. Na ukończeniu jest już pełnometrażowy film, ilustrujący życie wojsk naszych w Palestynie. Film ten, w którym grają wybitni artyści polscy, zapowiada się nader udatnie.

Najcięższym zagadnieniem w Bagdadzie jest problem mieszkaniowy. Za każde, nawet najskromniejsze pomieszczenie płacić trzeba horendalne sumy. Bagdad jest przepełniony i o miejsce w hotelu n.p. jest ogromnie trudno. Za łóżko i utrzymanie płaci się tu 1 funta dziennie, za oddzielny pokój z utrzymaniem — 2 funty. Nasza tutejsza Komenda Placu ma nielada kłopot z rozmieszczeniem przybywających do Bagdadu oficerów.

Śpieszę tam i ja właśnie, aby załatwić tę trudną sprawę. Komenda znajduje się po drugiej stronie Tygrysu i najłatwiej jest dostać się do niej łódką. Przepływam przez szeroko rozlaną, srebrzystą rzekę, w której gładkiej tafli odzwierciadlają się wyraźnie smukłe minarety. Przewoźnik nuci ochrypłym głosem jakąś monotonną melodię: pewnie modli się po swojemu do wszechmocnego Allaha. Przepływa obok nas łódź z wysokim żaglem — jedna, druga.

Jest słonecznie, cicho i dobrze. Na drugim brzegu rzeki zebrało się kilku żołnierzy polskich i w milczeniu patrzy na wodę i na niebo. Może wypatrują czarodziejskiego ptaka z Opowieści Sindbada-żeglarza, ptaka, który na płomiennych skrzydłach zaniósłby ich do dalekiej, utęsknionej Polski . . .

ROMAN FAJANS


Kurier Polski w Bagdadzie
REDAKCJA I ADMINISTRACJA
AKULIYA STR.
TEL.: 559 I 526 BAGHDAD
12
KURIER POLSKI
wychodzi 6 razy w tygodniu.
Dnia 3 grudnia 1942, czwartek. Nr. 1 Rok I

Nagłówek polskiego pisma codziennego, wychodzącego w Bagdadzie.

W nr. 4 "Kuriera Polskiego w Bagdadzie" znajdujemy następującą informację na temat "inwazji polskiej" na Irak:

"Irak, od czasu gdy etapami wycofywała się zeń administracja brytyjska, odsuwał się od Europy, dziś znów gwałtownie, na oślep do niej powraca. Wojna otwarła w nim na oścież drzwi dla europejskiej sztuki, książki, prasy, filmu, muzyki, sportu. Księgarnie nie mogą nadążyć w sprowadzaniu rozchwytywanych angielskich, francuskich i polskich książek z Londynu. Kina powstają jak grzyby po deszczu.

W bruk bagdadzki zastukał i w tłum arabski się zamieszał żołnierz polski. Za nim przyszła polska kultura, słowo, muzyka. Po raz pierwszy w historii światło Iraku ujrzały polskie pisma, książka polska rozlała się odrazu szeroką falą w małych księgarniach Bagdadu, a sklepiki zatrzęsły się od samouczków polsko-angielskich, na które dziś sprzedawcy mają zbyt taki, jak na papierosy. Energia organizacyjna znalazła wyraz nie tylko w uruchomieniu dwu na razie pism polskich na terenie Bagdadu, lecz również w dwu instytucjach: w Polskim Czerwonym Krzyżu i Domu Żołnierza Polskiej YMCA, mających ambicje także i kulturalne. W Domu Żołnierza już odbyły się odczyty prelegentów polskich i angielskich oraz pokaz filmów z życia naszej armii, a niebawem odbędą się koncerty."

Bez black-outu

Jesteśmy w południowej Walii. Patrzymy ciekawie dokoła, gdyż po raz pierwszy objazd nasz obejmuje tę część wyspy brytyjskiej. Nie ulega wątpliwości, że spotykani na naszych drogach ludzie składają się na obraz ziemi, podmalowują nastrój, przygotowując uśmiechem życzliwym, czy niechętnym wejrzeniem grunt pod naszą przyszłą indywidualną opinię o danym mieście czy kraju. Napewno niejeden lwowski batiar czy też uprzejmy, "informacyjnie" nastrojony lwowski emeryt, rozmowny konduktor lwowskiego tramwaju, zdobyli kiedyś dużo więcej sympatii dla naszego miasta, niż wiele oficjalnych, propagandowych elukubracji.

Podobnie było z naszym poznaniem Walii. W pociągu spotkaliśmy przemiłego konduktora kolejowego, a właściwie "inspektora" — jak oni nazywają — który napewno tego dnia oberwał porządną burę od swego szefa, gdyż wszedłszy raz do naszego przedziału w Tenby wysiadł w Cardiff zaniedbując w najjawniejszy sposób dalszą kontrolę biletów. Nieznany ten konduktor, kosztem kontroli biletów, zrobił dla Walii jednak porządną robotę propagandową. Wzbudził on w nas prawdziwe zainteresowanie i uczucie dla swojej ojczyzny, o której mówił z płomienną emfazą, mieszając obficie do swego — jak się wyraził — oficjalnego angielskiego języka, rozmaite zwroty w narzeczu walijskim. Ten czarny, niski "inspektor," dzięki prawdziwemu talentowi narracyjnemu przybliżył do nas Walię dając nam równocześnie przykład, jak dobry gawędziarz potrafi w anegdocie, w potocznej rozmowie, zdobyć słuchaczy.

Nie zapomnę nigdy chyba tej pięknej legendy o Walijkach z Fishguard and Goodwick, gdzie najechani przez kontynentalnych nieprzyjaciół wyspiarze, w którymś tam wieku obronili się przy pomocy żon rybaków, przybranych w . . . czerwone szale. Obrońców była garstka. Nosili wówczas czerwone pasy — znak wojowników. Więc kobiety walijskie z Fishguard and Goodwick, chcąc wywołać wśród najeźdźców wrażenie wielkiej ilości wojska, ściągnęły z głów czerwone zawoje, przepasały się tą czerwienią i chodziły przez dwa dni bez przerwy dokoła jednego i tego samego wzgórza na wysuniętym cyplu walijskim. Agresorzy przekonani w ten sposób o potężnej liczbie obrońców odstąpili od "inwazji" pod Fishguard and Goodwick.

Nasz wymowny "inspektor" operował mają kilejową i "przeźroczami" widoków z okien wagonu kolejowego. Z zadowoleniem mówił o węglu walijskim, pokazywał z dumą mijane ogromne stalownie, opowiadał historię powstania słynnego tunelu walijskiego /"Seventh Tunnel"/, przy którym kilka tysięcy ludzi pracowało przez kilką lat, a z górą tysiąc osób zginęło w czasie pracy. Przez ten cud techniki, przekop biegnący pod wodą zatoki, jechaliśmy przeszło 20 minut.

Rozmowny i pogodny konduktor stał się nagle szczerze sentymentalny, gdy zaczął mówić o pięknie walijskiej wiosny. Namawiał nas, byśmy koniecznie przyjechali w te strony w kwietniu lub w maju, gdy wszystko zakwita . . . Przymknął oczy i mówił o pewnej, bardzo ukochanej dolinie, przez którą przebiega lazurowa rzeka. Tam, w maju, wzgórze po lewej stronie bywa liliowe; po prawej drugie wzgórze płonie czerwienią. Wokoło zielone lasy . . .

Nie wiem czy potrafilibyśmy, tak jak on, słowami wyczarować obraz tatrzańskiej zimy czy podkarpackiej wiosny. Rozmarzył się na dobre poczciwy "inspektor" i opowiedział nam romantyczną legendę o tym, jak to dziewczęta walijskie wróżyły, oczekując powrotu ukochanych z wojny. Aby dostać odpowiedź na dręczące pytanie, rzucały do jeziora walijskiego dwie szpilki z warkoczy. Jeżeli te szpilki zeszły się w jeziorze, to wróżba dobra głosiła, że ukochany powróci z wojny zdrów i cały.

Przejeżdżając obok jakiegoś miasta wskazał pierwszy poznany przez nas Walijczyk olbrzymią fabrykę mówiąc: — "Tu robią słynne piąte koła do wozów automobilowych. A wiecie, jak to się stało? Posłuchajcie: przed wielu laty pewnemu gentlemanowi w tym właśnie mieście zepsuł się automobil, zaryzykował jednak powrót do domu, bo mieszkał w "country." Za miastem okazało się jednak, że koło poważnie szwankuje, więc gentleman zatrzymał się przy skromnym warsztacie mechanicznym, gdzie pomysłowy właściciel wstawiwszy nowe koło, przyczepił stare koło do tyłu wozu gentlemana. Ów gentleman był bardzo "clever" i tego samego wieczoru wpadł na niezły pomysł, który w rezultacie przyniósł mu patent na zapasowe koła automobilowe, wiele fabryk na całym świecie i miliony. Pomysł był prosty; wyjeżdżając z domu należy z tyłu wozu, "na wszelki wypadek" przyczepić nowe koło, tak jak stare koło zawiesił na wozie gentlemana nieznany właściciel warsztatu. Jak więc widzicie w naszej Walii urodziło się to słynne, tradycyjne piąte koło u wozu . . ."

Serdeczność z jaką witał Polaków, szczerość i prostota tego "inspektora" w zachwytach nad postawą Polski głęboko utkwiły w naszej pamięci.

* * *

W Cardiff, stolicy Walii, spotykamy tę samą życzliwość ludzką i niemal krępującą gotowość do wyświadczania nam drobnych grzeczności, do czynienia ułatwień. Z Walijczykami stykamy się na widowni lotniczej w pobliżu Cardiff w brytyjskiej jednostce balonowej. Powtórzyć potrafimy fragment przemówienia dowódcy stacji: "Ta straszna wojna uczyniła wiele złego, ale dała nam jedną poważną zdobycz — pozwoliła nam poznać polskich przyjaciół, przedstawicieli narodu, który pierwszy podjął nierówną, a tak bohaterską walkę z Niemcami. O tym Wielka Brytania nie zapomni nigdy."

* * *

W małym starym miasteczku walijskim Tenby, które według opinii naszych zespołowych "bywalców" europejskich, śmiało może konkurować z Korsyką, a może nawet i z Capri — budzimy powszechną sensację. Lądowego wojska polskiego nikt tu jeszcze nie widział, więc przypominają się nam "dobre czasy" Szkocji z roku 1940, gdy tłumy dzieciaków biegły za nami wołając: "polish soldier" i prosząc o "souvenir."

W malutkim pensjonacie, w którym każdy wita nas miłym słowem i uśmiechem, trafiamy akuratnie na komunikat o bombardowaniu Berlina i przerwaniu "jubileuszowej" mowy Goeringa. Starsze panie, zebrane w sitting roomie podnoszą kciuki do góry i mówią, że to musi być dla nas specjalnie przyjemne. Proszą, byśmy dzieci i kobiet nie krzywdzili, kiedy wkroczymy do Niemiec, uważają natomiast, że bombardowanie Rzeszy jest celowe i jedynie skuteczne, gdyż w ten sposób, po raz pierwszy zaniesiono wojnę na terytorium niemieckie. Rozsądne starsze panie obdarowujemy broszurami o Polsce. Wyrażają one podziw dla sprawności Polaków, którzy tyle wydawnictw ogłosili na tutejszym terenie . . .

* * *

Polaków otacza wszędzie duża sympatia więcej lub mniej zasłużona. Czasem większa tam, gdzie nas dłuższy czas nie było, albo tam, gdzie nas w ogóle jeszcze nie widziano, ale na ogół możemy być pewni sympatii nawet tam, gdzieśmy jej niepotrzebne nadużyli. Przypuszczam, że jest ona trwała, mimo ciężkich prób, jakie przeszła w niektórych dłuższych miejscach postoju w Szkocji.

Teraz właśnie, jeżdżąc tak długo po Anglii, możemy przekonać się o naprawdę głębokiej i niegołosłownej przyjaźni polsko-szkockiej. Niegroźnie przy niej wyglądają "słynne" incydenty prasowe z terenu Dundee czy St. Andrews. Po każdym prawie przedstawieniu w dywizjonach brytyjskich, pierwszymi gośćmi za kulisami z reguły są Szkoci. Nie przychodzą jak do aktorów, ale jak do "swojaków," do przyjaciół. I to jest frapujące. I to jest bardzo radosne. Przychodzą, żeby się wyżalić, ponarzekać na Anglików, poskarżyć się na Amerykanów: a po tym wyciągają z kieszeni jakąś fotogeniczną podobiznę polskiego "frienda," którego poznali na świętach u matki w Arbroath. Z reguły taki "friend" jest "charming" i obowiązkowo "wonderful fellow." Przychodzi taki jeden z drugim Mac Leod czy Gardiner, albo po prostu Fraser i w "obcej," "mglistej" Anglii gada z nami o pięknie "naszej" Szkocji.

My odwdzięczamy się jak umiemy, a więc mówimy im, że policjant David z Kirkcaldy ma się dobrze i widzieliśmy go w doskonałej formie na Christmas, że grocer Murray w Forfarze trochę zeszczuplał, ale zato przyszła do siebie po grypie tobaconistka z Perth, przemiła pani Galbreith.

To jest niewątpliwie nasza poważna "zdobycz wojenna." I nierozsądnie było by stracić ją lekkomyślnie. Nie znaczy to, że zaraz z tej okazji nasze godło państwowe ma ulec zmianie, jak to niedawno projektowano publicznie. Ten orzeł polski na szkockiej kratce, nie ma sensu. Nie trzeba psuć prawdziwej, dokonanej, przyjaźni szukaniem jakichś naciągniętych, zewnętrznych efektów. Niechaj ich lew dalej czuwa na żółtym polu, a nasz orzeł niech pozostanie na czerwonym. W niczym to nie zmieni tego, co się dokonało w sercach i umysłach . . .

* * *

Jadąc pustkowiem, przez południową Anglię wiele długich mil, spotykamy wreszcie polskich lotników z dywizjonu bombowego. . . "Stoją" oni dosłownie tam, gdzie "diabeł dobranoc powiedział." Otacza ich morze i piasek, który przez większą część roku bywa po prostu zwyczajnym błotem. Mieszkają w przewiewnych barakach, dokucza im często brak wody do picia, gotowania i mycia. Klimat także "odpowiedni": ciągłe ostre wiatry wybijają szyby w barakach, a o wstawienie nowych trudno. Nieraz bywa tak, że obiad z braku wody bywa odwołany i po prostu żyje się "suchym prowiantem." Do najbliższego miasteczka jest 10 mil, do kolei przeszło 30.

—"Jakie to miasteczko?" — pytam jednego z mechaników-lwowiaka. Odpowiada wzruszając ramionami: — "Ta co za miasteczko? Po prostu: dwóch policajów i jedna para butów."

"Stoją" nasi lotnicy w takich warunkach wiele miesięcy, wykonując codziennie bardzo odpowiedzialne operacje. Godny podziwu jest nastrój, który wśród nich panuje, atmosfera wzorowej harmonii. Ten dywizjon jest, jak jedna zgrana załoga. To jednak prawda, że w trudnych warunkach bojowych, gdy wicher w oczy wieje, gdy obiad jest niepewny, co więcej, gdy każdy powrót na obiad jest niepewny — wszystkie inne drobne sprawy schodzą na plan dalszy, jeżeli zupełnie nie znikają z horyzontu. Gdy komuś z Was, Koledzy, dokuczy nostalgia w Szkocji, pojedźcie tam do twierdzy polskiej, nad burzliwym morzem. Zdobędziecie odporność.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

"PALMAM QUI MERUIT FERAT"

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Dowódca I. Korpusu, w liście do dziennikarzy, druk. w nr. 47 "Wiadomości Polskich" — pisze tak: " . . . żołnierz nie chce być bezimiennym, nieznanym żołnierzem . . . Róbcie zatem wszystko, by mu dopomóc . . . Nie skąpcie . . . zapłaci on wtedy świadomą ofiarą . . ."

Nie wątpię, że żołnierze, ich rodziny, nawet . . . ich dalecy potomkowie — zrozumieją mnie; mam na myśli również muzea wojskowe. Mówię jako stary żołnierz, jako stary badacz i zbieracz medali. Chcę wskazać na jeden sposób, który stwarza możliwość, aby żołnierz nie pozostał bezimienny, nieznany. Sposób ten był wynaleziony i urzeczywistniony w rozległej skali w Anglii. Przyczyniła się do tego inicjatywa prywatna — nie rządowa. Stało się to 144 lat temu, przetrwało dotychczas, lecz — niestety — nie znalazło naśladowców w innych krajach.

Jak i obecnie, w końcu XVIII i początku XIX wieku Anglia prowadziła tytaniczną walkę — z Napoleonem. Wspaniały marynarz, z duchownej zresztą pochodzący rodziny, Lord Nelson — systematycznie gromił flotę francuską /i jej sprzymierzeńców/ i w Egipcie w roku 1798 i pod Kopenhagą w 1801, i w okolicach Gibraltaru — przy Trafalgarze — w r. 1805.

Zwycięstwa . . . i nagrody: złote medale, lecz . . . tylko dla najwyższych dowódców; młodzi oficerowie i szeregowi angielscy — ani przedtem, ani długo potem żadnych odznak nie dostali. Tak samo było i na lądzie: Duke of Wellington uparcie bił się z Francuzami w Portugalii i Hiszpanii, lecz i tu złote krzyże i medale upiększyły mundury tylko dowódców wysokich szczebli. /Pod tym względem powiodło się wojskowym wszystkich rang — w Rosji, gdzie Piotr Wielki wprowadził obyczaj nadawania medali jeszcze w początku XVIII wieku./

I oto — obudziła się w Anglii inicjatywa prywatna: dla upamiętnienia zwycięstw pod Abukirem /1798/ i Trafalgarem /1805/ Mr. Boulton i Mr. Davidson z Birmingham, kazali wybić medale na swój koszt i . . . za zgodą króla — rozdali je uczestnikom tych bitew: medale z metali szlachetnych — oficerom, a takie same z ołowiu — szeregowym /dużo tych "ołowianych" oburzeni

Podobizna "Navy General Service Medal"



marynarze wyrzucili za burtę/. Niektórzy z "odznaczonych" z własnego pomysłu wyrytowali na medalach swoje nazwiska, rangę i nazwę okrętu i po dorobieniu kółek — nosili je na granatowych wstążeczkach. W taki prosty sposób dwu gentlemen'ów i kilku marynarzy unieśmiertelnili — częściowo co prawda — uczestników tych walk. Reszta czekała aż do roku 1848.

Natomiast wojsku lądowemu zadośćuczyniono prędzej: po burzliwych debatach w prasie i parlamencie, po zwyciężeniu iście albiońskiej oporności Duke of Wellington /a ileż on sam dostał odznaczeń, tytułów, majątków i setek tysięcy funtów prawie że od wszystkich monarchów europejskich! . . ./ — wszyscy uczestnicy bitwy pod Waterloo w r. 1815 zostali odznaczeni jednakowym srebrnym medalem, przyczem na skraju każdego medalu, specjalną maszyną, było wyrytowane: nazwisko, ranga i pułk odznaczonego. Od tego czasu ok. 90% angielskich medali nagrodowych miało charakter imienny: imię każdego, kto brał udział w walkach za ojczyznę — było upamiętnione.

Marynarce zadośćuczyniono urzędowo tylko w r. 1848, kiedy był wybity medal "za ogólną służbę morską" /*Navy General Service Medal* 1848/ i 20.900 pozostałych przy życiu uczestników 230 bitew morskich od 1793 do 1840 r. zostało odznaczych tym medalem, z drukowanym na skraju medalu nazwiskiem, rangą i nazwą okrętu, przyczem na wstążce umocowana była /czy były/ sprzążka /"baretka"? od słowa "bar"?/, lub sprzążki, z nazwą jednej z tych 230 bitew, w której /lub których/ marynarz brał udział. W tym samym roku był zatwierdzony medal "za ogólną służbę Armii" /*Army*

Podobizna "Army General Service Medal"



General Service Medal 1848/, z 28 sprzążkami /"bars" lub "clasps"/ — za bitwy od 1801 do 1814 włącznie. I tym razem Duke of Wellington ugiął się tylko przed rozkazem królowej Wiktorii; a co za listy pisała ona do niego w tej "drażliwej" sprawie! . . .

I druk na skraju /"*inscription on the edge*"/ i sprzążki /"*bars*"/ zakorzeniły się w W. Brytanii. We Francji zaś oznaczone na skraju były tylko medale za wojnę z Austriakami we Włoszech w r. 1859, później wprowadzono dekorowanie wstążek medalowych sprzążkami. Niemcy wykorzystali skraj medalu dla napisu: "Z zabranej armaty" — na niektórych okazach jeszcze od roku 1813.

Nie trudno wyobrazić sobie, jakie to w Anglii miało skutki. Widziałem medale aż sześciu pokoleń, z pietyzmem przechowywane w gablotkach niektórych rodzin angielskich. Przecież każdy z tych medali — nosi na sobie ślady dziejów i ojczystych i rodzinnych. Widziałem muzea okrętów i pułków angielskich, gdzie zebrano setki medali byłych oficerów i szeregowych.

Czyżby nie przechowywano takich medali i w rodzinach polskich z wyrytym nazwiskiem przodka — uczestnika bitwy Racławickiej, lub Borodinskiej, Ostrołęckiej, Wawrskiej, Radzymińskiej, etc., etc.?! Czyż nie będą przechowywać w przyszłości medali i krzyżów uczestników bitew pod Narwikiem lub Tobrukiem, albo nalotów na Bremę, Hamburg, etc.,

Badać i zbierać medale wojskowe zaczęto w Anglii od 1860 r. /i bez porównania więcej, niż medale "pamiątkowe," nienoszone, "*commemorative*"/. Obecnie literatura w tej dziedzinie jest nadzwyczaj bogata, zbieraczy naliczyć można prawie tysiącami, na przetargach medalowych za rzadkie okazy płacą setki funtów, autentyczność każdego medala, każdej sprzążki może być sprawdzona w odnośnym wydziale War Ministry.

Sprawa "imiennego" medala /czy krzyża/ jest może zagadnieniem całego społeczeństwa, nie tylko kół wojskowych, przecież w wojnach obecnych bierze udział cały naród — do dzieci i kobiet włącznie . . .

Wierząc, że sprawa ta znajdzie zrozumienie — zwracam się do Sz. Pana Redaktora z prośbą o wydrukowanie tego listu. Ukochani: p. inż. Wł. Terlecki, p. dr. A. Solecki, p. maj. R. Protasowicki — medaliści warszawscy, jakżeby tę sprawę zrozumieli — orzekając ze mną: "Postera laude recens!"

Włodzimierz Rychter

POSZUKIWANIA

Kto z Polaków przybyłych z Rosji może udzielić mi informacji o moim ojcu: A. ZYLBERSZLAKU, z zawodu fotografie, pochodzącym z Sosnowca, a ostatnio zamieszkałym w Chorzowie. Po wybuchu wojny zbiegł do Lwowa, a następnie został ewakuowany w czerwcu 1940 r. wgłąb Rosji.

Miał się znajdować w Krasnouralsku przy wyrębie lasów. Osoby mogące udzielić informacji proszone są o łaskawe zwrócenie się pod moim adresem: LEO SILVER, Box 452, BULAWAYO, Southern Rhodesia, Africa.

Wszelkie koszta z podziękowaniem pokryję.

* * *

Poszukujemy p. JANA JANASA, ur. w r. 1906 w Zawadzie, pow. Frysztat, b. kierownika oddziału Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek we Frysztacie na Śląsku Cieszyńskim. Wymieniony znajdował się w lecie 1940 r. w więzieniu sowieckim w Czernichowie. Informacje na adres: Koło Ślązaków Cieszyńskich, 91, Queen's Court, Queen's Way, London, W.C.2.

* * *

OTWARCIE PUBLICZNEJ SZKOŁY POWSZECHNEJ

Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych podaje do wiadomości, że z dniem 1 stycznia 1943 r. otwarta została w Castlemains, Lanarkshire /Szkocja/ koedukacyjna Publiczna Szkoła Powszechna III stopnia. Przy szkole jest internat.

Wpisy dzieci przyjmuje bezpośrednio Kierownictwo wymienionej szkoły, które udziela jednocześnie wszelkich wyjaśnień w sprawach dotyczących nauki oraz przyjęcia do szkoły.

Z życia obozów

Przez kapelańskie okulary



Polscy mechanicy przy pracy

Przed chwilą wstąpiłem do *dispersalu.* Godzina była, jak na grudzień wczesna, a mimo to zastałem ruch i krzątaninę. Piloci wciągali długie białe pończochy, zakładali grube białe swetry, szukali swych ciepłych rękawic.

—Wyjeżdżamy zagranicę, proszę księdza — przywitały mnie głosy.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo w tej chwili uczułem, że ktoś znienacka ściąga mi wełniany szal ze szyi. To “ Synek,” dowódca “ B ” *flight'u.* W ten sposób zabezpieczył się przed zimnem.

—Oddam po powrocie — śmiejąc się odkrzyknął już w drodze do swej maszyny.

Nie żałowałem mu. Mróz trzymał mocno. Na ziemi było nam zimno. Jakaż więc temperatura musiała być na dwudziestu tysiącach stóp.

Maszyny zwolna kołowały na linię startu. Za chwilę uniosły się równo odmierzonymi trójkami i szybko zniknęły za mgiełką, która szła od południowej strony lotniska.

Upewniłem jeszcze szefów *flight'ów,* że msza skończy się przed powrotem dywizjonu z operacji i udałem się do kaplicy. Tak się już dziwnie układa pogoda, że zawsze operacje przypadają w niedzielę. Dzisiejszy *sweep* wyjątkowo nieprzychylnie zbiegł się z godziną mszy św.

Dotąd pamiętam jeden tylko przedpołudniowy lot niedzielny. Było to jeszcze w sierpniu. Pogodziłem się wówczas z myślą, że piloci nie będą na mszy. Ubierałem się właśnie w albę, kiedy odwołano mnie do telefonu. To “ Mały ” prosił, by trochę zaczekać.

—W tej chwili maszyny wylądowały — mówił zdyszany. — Za chwilę będziemy w kaplicy.

Przybyli w swoich butach i kurtkach lotniczych podekscytowani jeszcze dopiero co odbytym lotem.

Dziś jednak nie przyjdą na pewno. To też moje memento za żywych w czasie mszy św. jest dłuższe, niż zazwyczaj. Modlitewną myślą jestem przy nich. Jak tyle razy przedtem, gdy lecieli nad Abbeville, Le Havre, Dieppe czy Lille. W tej chwili skupienia i modlitwy o ich powrót szczęśliwy, po raz pierwszy może w sposób tak wyraźny uprzytomniłem sobie myśl w swej śmiałości może nawet grzeszną: pozazdrościłem im przywileju walki. Uprzytomniłem sobie, że jestem w tym samym wieku co oni, że te same co im motywy kazały mi przedzierać się przez ośnieżone granice do Francji, skłoniły do ćwiczeń i wojennych trudów w coëtquidańskiej podchorążówce, podtrzymywały na siłach w czasie ucieczki z obozu jeńców po przez więzienie hiszpańskie do chwili przybycia na ląd brytyjski.

A jednak oni dopięli swego, podczas gdy mnie jako księdzu po ukończeniu podchorążówki kazano założyć fioletowe patki kapelana, a od chwili pobytu na lotnisku w B. skazano na niepokój o los i wyczekiwanie pilotów . . .

* * *

Msza św. się skończyła. Kaplica szybko opustoszała. Ludzie śpieszyli się, by zdążyć na powrót maszyn. Ale jak zawsze, ktoś stał obok zakrystii, czekając aż skończę z rozbieraniem się z szat liturgicznych. Tym razem był to st. szer. U. Obserwowałem go z pewnego oddalenia . . . Widać było, że waży jakieś postanowienie. Dziwnie jakoś kontrastowała jego duża, silna, bryłowata postać z tym wyrazem niepewności i zażenowania na twarzy.

Gdy się zbliżyłem i zapytałem, czym mogę służyć, nie od razu dowiedziałem się, o co chodzi. Zwolna jednak opanował się. Zwierzył się, że chciałby ufundować “ Drogę Krzyżową ” dla kaplicy.

—Kaplicę mamy od niedawna — dowodził — ołtarz jest piękny, ale ściany są gołe, a ja bym tak chciał, żeby ta kapliczka przypominała mi kościółek z rodzinnej wioski.

—No, dobrze — odpowiedziałem — ale Wasz niewielki żołd nie pozwoli na tak duży wydatek. Zakupię zatem obrazy “ Drogi Krzyżowej ” ze wspólnych składek.

Nie chciał się zgodzić na żadne perswazje. Tak sobie rozłoży swoje oszczędności, przekonywał, że w przeciągu dwóch do trzech miesięcy wszystko spłaci. Nie chciałby zrezygnować z planu, który od dawna już sobie ułożył.

Przedstawiał takie argumenty, że nie śmiałem oponować, jak i wówczas gdy dwóch mechaników przyszło zamówić mszę św. za swego nieżyjącego już dowódcę i przy tej okazji złożyli większą sumę na zakup ornatu, który ma być ofiarowany jednemu z ubogich kościołów po powrocie do kraju.

—W dni wypłaty wydajemy jednego funta i więcej, żeby się zabawić. Niech więc ksiądz kapelan nie waha się wziąć tych pieniędzy, które zebraliśmy, bo wiemy, że będą dobrze użyte.

Czy nie ciężko być kapelanem młodemu księdzu, który nastawiony jest na walkę ze złem i z przeciwnościami, a napotyka na objawy głębokiego przywiązania do wiary? . . .

* * *

Kiedy przybyłem na tutejsze lotnisko peszyły mnie soczyste żołnierskie słowa, objęte tu mianem “ łaciny.” Ta “ łacina ” do tego stopnia zachwaściła żołnierski język, że słyszałem ją wszędzie: w *dispersalu,* w *maintenansie,* w kasynie. Ponieważ był to okres budowy nowego ołtarza polowego dla jednego z dywizjonów, więc ogłosiłem sześć pensów kary za usłyszaną “ łacinę.” Wpadunki były początkowo straszliwe. Jedna trzecia kosztów ołtarza stąd została pokryta. Kto bowiem raz zapłacił *sixpensa,* starał się dopilnować kolegę, by i jemu nie uszło to na sucho. W każdym razie dziś łacinę zarezerwowano tylko dla kapelana.

Opornie nieraz szło ściąganie tej grzywny. Zwłaszcza przed pierwszym lub przed wypłatą, kiedy słyszało się ogólne narzekanie, że nawet zakląć sobie nie można porządnie, bo brakowało *sixpensa.*

To też zdziwienie moje nie miało granic, gdy wchodząc któregoś popołudnia do kasyna zauważyłem sunącego ku mnie w podskokach “ Maryśkę,” u którego nikt nigdy jeszcze pieniędzy nie widział, usiłującego wysupłać kilka peniaków z bocznej kieszonki.

Okazało się, że nad Francją maszyna zaczęła nawalać. Na wysokości dwudziestu pięciu tysięcy stóp. I wówczas to zrobił ślub, że o ile doprowadzi swego *Spitfire'a* do bazy, da kapelanowi pół korony na jakiś dobry cel. Z trudem udało mu się to wypełnić, choć była dopiero pierwsza połowa miesiąca.

* * *

Kiedy kilka tygodni temu ppor. M. na skutek wypadku lotniczego niespodziewanie zawędrował do szpitala, pierwszym życzeniem po odzyskaniu przytomności była prośba o księdza i o spowiedź.

Z codziennej obserwacji można by napisać tomy barwnych przykładów z religijnego życia dywizjonów, gdzie wiara płynie swoim głębokim, dla zwykłego oka niedostrzeżonym nurtem.

Nie dalej jak wczoraj podszedł do mnie w *maintenansie* plutonowy W. jedyny protestant w dywizjonie. Prosił o chwilę rozmowy na osobności. Dziś był już na pierwszej lekcji religii, a za kilka tygodni zostanie przyjęty na łono Kościoła katolickiego.

I będzie to właśnie w tym czasie, gdy zdarzają się usiłowania, by religię katolicką usunąć poza nawias polskiego życia.

FELIKS TANIEWICZ

Rok w St. Andrews



Koleżeństwo tóg i mundurów

W październiku 1941 polskie “ *battle-dress'y* ” przekroczyły progi uniwersytetu w St. Andrews, zaludniły United College i St. Mary's College. Słuchacze wojskowi zaczęli uczęszczać na wykłady z wszystkich niemal dziedzin, pracować w laboratoriach, czytać w uniwersyteckiej bibliotece, żyć znowu studenckim życiem.

* * *

Długo trwało niezmienne uczucie poruszania się w świecie nowym i nierzeczywistym, choć dobrze znanym, choć wciąż przywoływanym do świadomości w ciągu dwuletniej wędrówki, wyłaniającym się z mgły zapomnienia. Trudno było uświadomić sobie, iż chwilowo nieosiągalne, drugoplanowe marzenie zostało urzeczywistnione, porzucona i zatarta myśl o umysłowym bezruchu. Reakcja na zjawiska zewnętrzne była powolna, horyzont myślowy przyćmiony . . . Minął niejeden tydzień, zanim zapaliły się reflektory . . .

Przez pierwsze dni pobytu w St. Andrews chodziliśmy godzinami po słonecznym jesiennym mieście, w którym trwał niesłychanie przejrzysty nadmorski przestwór prześwietlony złotem słońca i bielą morskiej piany miotającej się wśród skał. Błąkaliśmy się po uniwersyteckich zabudowaniach, obserwując je oczyma przybyszów z daleka, upojeni nową atmosferą . . .

* * *

Gdy uniwersytecki zegar wydzwania godzinę — głos jego przenika w zaułki miasta, ciche i pełne cieni, snuje nić uroku. Doznaje się wtedy olśnienia. Widzi się nagle obrazy rodzime, pełne ciepłych, złotych blasków. Trzeba przystanąć tu na Grail's Lane, aby nie stracić momentu . . . Październikowa, nasycona blaskiem atmosfera trwa w uliczce, głośne kroki umilkły pod dalekim sklepieniem, słuchać tylko przyjdzie pędu własnych myśli — czyżby to droga do Uniwersytetu Jagiellońskiego, czy może jeden z wileńskich zaułków. — taki sam chłodny jest mur w sieni, zaś pełen światła w górze gdzie styka się z niebem . . . W zamyśleniu przyjdzie kierować swe kroki na South Street, gdzie spłoszone zostanie marzenie nieprawdopodobną rzeczywistością . . . więc to nie Wielka? Lecz tu w bramie na Baker Lane podobizna Piłata Ponckiego, odrażająca wymowa jego oblicza, oczu napiętnowanych okrucieństwem, jest tłem dla momentu, uwypukla wrażenie chwili, akcentuje związek z przeszłością, jest legendą, która raz po raz przecina teraźniejszość . . . Idziemy . . .

* * *

W salach wykłady dobiegają końca — profesorowie znikają żegnani uświęconym tupaniem. Wśród czerwieni tóg, uniwersyteckich “ gowns ” — zieleń polskich “ *battle-dressów.*” Bezbarwne i skromne wydają się te “ bitewne suknie ” wobec krzyczącego niemal szkarłatu panoszącego się na ulicach, widocznego z daleka i wśród ruin zamku i na piasku wybrzeża, czy na ciemnych skałach wystających z wody. Wiatr szarpnie, układa w fałdy, podrzuca figlarnie togi zarzucone niedbale na ramiona. Jest w tym wiele pogody, wesela, beztroski.

Jest dla nas może i coś więcej. Uniwersytet występuje tu ciągle, jest wszędzie obecny, władający niepodzielnie miastem, mimo swej wyłączności, wkraczający w każdy przejaw życia. Na myśl iż Tam nauka tępiona jest bezwzględnie, niweczona wolna myśl, krzepiące jest zeznanie iż uniwersytet zaciążył nad miastem St. Andrews, do którego zjechała garstka szczęśliwych wojskowych słuchaczy.

* * *

W chwilach napiętej ciszy, którą znają chyba tylko świątynie — w czytelni istnieje niemal wyczuwalna atmosfera myśli — unosi się z nad tomów, z nad znieruchomiałych postaci, siła mistyczna prowadząca do granic szczęśliwości. Z okna płyną świetliste smugi — zamieramy w blasku i splendorze teraźniejszości.

* * *

Zwolna oddala się myśl męcząca i natrętna, którą w wolnych chwilach umysł nękany koszmarami roztrząsał: “ niemożebne jest, aby odeszły na zawsze — tęsknota, która budzi niepokój krwi, wrażenia, których się jeszcze nie zaznało, tysiące oblicz przyszłości, melodie książek i słów, szepty i przeczucia.” Zapaliły się reflektory i szukały, szukały . . . Ich światło było chwilowo tak rażące iż sprawiało ból nieprzywykłemu oku, znużenie i zamęt myśli. Niepodobna było się uczyć. Wybiegaliśmy z czytelni by patrzeć na fale rozbijające się o skały szare i brunatne, by łódką wypływać na morze. Lecz po tygodniach zżywania się z nowym światem pojęliśmy spójnię jaka nas z nim łączyła. W głębokim oddechu nabraliśmy w płuca powietrza z atmosfery, która stała się już cząstką naszej osobowości. Odnaleźliśmy samych siebie.

* * *

Po przerwie międzytrymestralnej — okresie świąt Bożego Narodzenia, spędzonych w oddziałach na zimowych ćwiczeniach, nadszedł drugi trymestr. Przemijać poczęły miesiące ciemne i śnieżne. Ocknęły się znów drzemiące zimą zapasy jakiejś energii niesłychanej. Impuls pracy, biorący w swe posiadanie pęd do aktywności najszerszej mówił, że okres poszukiwania utraconego czasu należeć będzie do przeszłości.

Piękny był świat, w ślad za kalendarzową wiosną zeszła prawdziwa; drugi trymestr dobiegający końca, ostatnie pociągnięcia piórem w seminaryjnych pracach, przedegzaminacyjna lektura pochłaniana żarłocznie; a jednocześnie złudzenie życia, które przybrało realne kształty — kontakty z ludźmi wciąż nowe, coraz szersze, styczność w różnych płaszczyznach, dysputy wszędzie i o każdej porze, gorące dyskusje poodczytowe i w ściślejszym gronie kawiarni czy w domu. Pojawiające się w “ cage ” tematy zebrań: “ Post-war settlement.” “ Germany and peace,” i liczne inne przecinały dzienną rutynę akademickiego życia, zbliżały dwa odwieczne typy studentów — zabitego intelektualistę i wściekłego sportowca do teraźniejszości, do spraw kontynentu, do nabrzmiałych ważkością pulsujących krwią spraw chwili.

Polacy zjawiali się mniej lub więcej tłumnie w “ Dinerze,” “ Town-Hallu ” czy “ Debaterze ” na wszystkich odczytach, przemówieniach, debatach. Borykając się z nieudolnością wysłowienia i ze śmiesznostkami akcentu, starali się prostować myśli prelegenta lub przedmówcy, błądzące w sferze zagadnień drażliwych.

Posiadając częściowo przyswojone cechy, bez których nie można przemówić do Brytyjczyków jak: spokój rozumowania, wstrzemięźliwość w uzewnętrznianiu uczuć, prostotę mowy /która z natury rzeczy była nieskomplikowana/, wyrobienie w prostej ocenie zdarzeń, praw, sądów i opinii, trafiali do przekonania publiczności.

Rok akademicki zbliżał się ku końcowi. Po ilekroć uświadamialiśmy sobie iż dni i noce zbyt szybko przemijają, aby możliwe było objęcie tego wszystkiego co jest w nas samych, co nas otacza i co przed nami się przesuwa w pochodzie nieustannym!

Przytłaczające przypływy niepokoju, gdy w ciszy rytmicznych drgań myśli, wśród spokoju i chłodu lektury kojącej i ożywnej przyśni się świadomość życia, które płynie wokół i mimo, które trzeba spętać i wchłonąć, które trzeba widzieć oczyma czułymi na piękno, w które trzeba stale wchodzić z jasnością myśli i odwagą serca i które wciąż staje się nieuchwytne, dalekie i obce wraz z pojawiającym się zeznaniem zamierzeń, celów i postanowień, których tak małą cząstkę dane jest nam wypełnić . . .

* * *

Wracamy do oddziałów. Po miesiącach spędzonych z książką istnieje wielka chęć ucieczki w świat inny. Wabi i nęci wędrówka w pole musujące złotem, w góry stojące w letnim słońcu — w ich pustkę, którą trzeba będzie zapełnić szybkimi myślami decyzji, głosem komend. Zapachy ziemi mają woń przenikliwie pierwotną. Ogarnięci nimi od stóp do głów przystajemy znagła, żeby rzucić wstecz okiem. Nasunęło się raptownie, przeszło przez nas jak fala wspomnienie — wrażenie corocznego powrotu do domu. Marsz dalej i szybciej. Wracamy do oddziałów.

Patrzymy w błękit nieba i dalekie ciemne kontrasty lasów. Pijemy z kielicha czasu pełnymi haustami.

WŁAD

Kochany Redaktorze,

Przesyłamy w załączeniu kwotę £26.0.9 zebraną przy rozdawnictwie programów w czasie naszych przedstawień "Polish Panorama" i prosimy o przekazanie tej sumy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi na pomoc dla dzieci polskich w Rosji.

Równocześnie prosimy o przesłanie za pośrednictwem "Polski Walczącej" serdecznego podziękowania Warszawskiemu Dywizjonowi Myśliwskiemu za wielką ofiarność na ten cel.

Czołówka Teatralna "Lwowska Fala"

Dear Sir,

Will you please find enclosed the sum of £26.0.9 for the relief of Polish children in Russia. We received this gift from the following stations during our performance of "Polish Panorama":

1.22.IV. R.A.F. Hu.-Cr.	£16. 1. 0
2.23.II. Royal Art. Train. Centre Br.	£ 2.12.11
3.24.II. A.T.S. Centre Po.	£ 4. 0.10
4.26.II. R.A.F. Me.	£ 3. 6. 0
Total	£26. 0. 9

Polish Forces Theatre "Lwowska Fala"

* * *

Kochanemu Szczepkowi w dniu Imienin składamy najserdeczniejsze życzenia a zamiast upominku przekazujemy 30 szylingów na pomoc dla Polaków w Rosji.

Koleżanki i koledzy z "Lwowskiej Fali"

* * *

Redaktor "Polski Walczącej," Londyn,

W załączeniu przesyłam czek na sumę £2.0.10 /dwa funty i dziesięć pensów/ z prośbą o przekazanie na fundusz pomocy Polakom w Rosji. Powyższą sumę złożyli:

Pomoc dla Polaków w Rosji: £7,698

1/ Mieszkańcy baraku 21. zamiast choinki na Boże Narodzenie	£0.12. 0
2/ Mieszkańcy baraku XX. dobrowolne opodatkowanie się za używanie nieprzyzwoitych wyrazów i grę w karty	£1. 8.10
	£2. 0.10

Komendant Szkoły Wyszkolenia Technicznego w H. Ppłk. R.

* * *

W załączeniu przesyłam przekaz pocztowy na sumę

£20.0.0 /dwadzieścia funtów/ zebranych wśród żołnierzy 1. Kompanii Warsztatowej z prośbą o przekazanie na pomoc dla Polaków w Rosji.

Dca 1. Kompanii Warsztatowej /—/ mjr. C.

* * *

Stosownie do życzenia niżej wymienionych nieprzyjęte honorarium autorskie od pp. A. Bogusławskiego, por. Herberta i J. Kołaczkowskiego przekazuję na pomoc dla Polaków w Rosji

£9.0.0

"Kalendarzyk Polaka w W. Brytanii"

* * *

To the Editor of "Fighting Poland,"

The Polish Club at Oxford gives herewith £20 for the Poles in Soviet Russia and the Middle East. This money represents the net amount collected from a series of concerts held in Oxford from October, 1942, to January, 1943, and attended by many of our English friends who were kind enough to contribute for this purpose.

Julian Borucki
A. Waligórski

* * *

Zamiast przesyłania indywidualnych podziękowań za okazaną życzliwość i współczucie w formie kondolencyj lub obecności na pogrzebie ś.p. mgr. mjr Bienkowskiego Franciszka £1 /jeden funt/ na Polaków w Rosji z wdzięcznością przesyłają.

Żona i dzieci

* * *

Na Polaków w Rosji przesyłam kwotę sh.10, ofiarę złożoną na moje ręce na jakiś cel dobry.

Ks. kapel. Żyłka A.T.J.

* * *

Przesyłając "British Money Order" ZV 19328 na przekazaną gotówkę w sumie £5 sh.3 komunikuję że są to kwoty zebrane przez szeregowych Komp. Sztab. Gr. W. Wsp. 1. Dyw. Panc. na dzieci Polaków w Rosji £5.0.0.

na jeńców polskich w Niemczech sh.3.

wachm. Sz.

* * *

Pacjenci w Southfield Sanatorium przesyłają kwotę 30 szylingów na Pomoc Polakom w Rosji.

Na pomoc Polakom w Rosji za miesiąc luty sh.5.

ppor. Jan H. ze Slough

* * *

ŁAŃCUCH OFIAR

Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. Wojciecha Marciniaka st. sap. — 1. Kompania Saperów 1. Bryg. Strz. przesyła kwotę £2 sh.11 d.3 na Pomoc Polakom w Rosji "Łańcuch Ofiar."

Za Oficera Gosp. pchor. K.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £89.7.10 /słownie osiemdziesiąt dziewięć funtów, siedem szylingów i dziesięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £7,698.16.2 /słownie siedem tysięcy sześćset dziewięćdziesiąt osiem funtów, szesnaście szylingów i dwa pensy/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwieńców.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Redakcja "Polski Walczącej,"

Przyłączając się do apelu ogłoszonego w nr. 2 "Polski Walczącej" przesyłam na ręce Pana Redaktora 152 książek polskich z przeznaczeniem dla Junaków na Bliskim Wschodzie.

Oficer Welfare I Korpusu kpt. N.

* * *

Po przeczytaniu artykułu w "Polsce Walczącej" o dzieciach polskich, przesyłam podręcznik szoferski dla Junaków, który proszę uprzejmie im odesłać.

N.N.

Na książce znajduje się następująca notatka: *Właściciel tej książki: Por.-radio obserwator Skrouba Józef zginął śmiercią lotnika dn. 13.11.1942 o godz. 22.10.*

* * *

Bezimiennie:

Wł. St. Reymont: "Chłopi" Zima — Wiosna — Lato. — Henryk Sienkiewicz: "Potop" tom IV-ty. — Francois Mauriac: "Pustynia miłości." — Robert Vansittart: "Czarny rejestr." — Kazimierz Saysse-Tobiczyk: "Monte Adamello."

* * *

Składnica Księgarska ofiarowała następujące książki: Słowacki: "Anhelli." Słowacki: "Kordian." Krasiński: "Przedświt."

* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 421 książek.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Stosownie do życzenia płk. Kr. nieprzyjęte honorarium autorskie w sumie

£3.0.0

przekazuję na Fundusz Jeńców Polskich w Niemczech.

"Kalendarzyk Polaka w W. Brytanii"

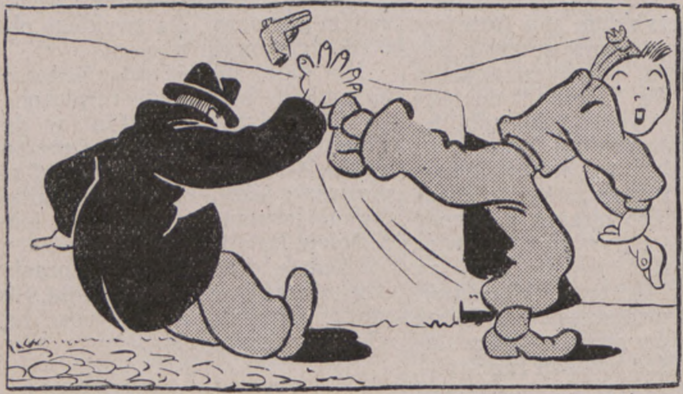
* * *

Na jeńców polskich w Niemczech sh.3.

wachm. Sz.

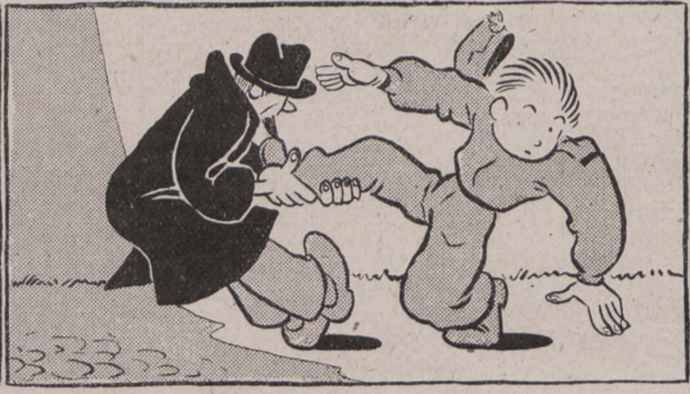
PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Tekst: *RYSZARD POBÓG* Rysunki: *MARIAN WALENTYNOWICZ*



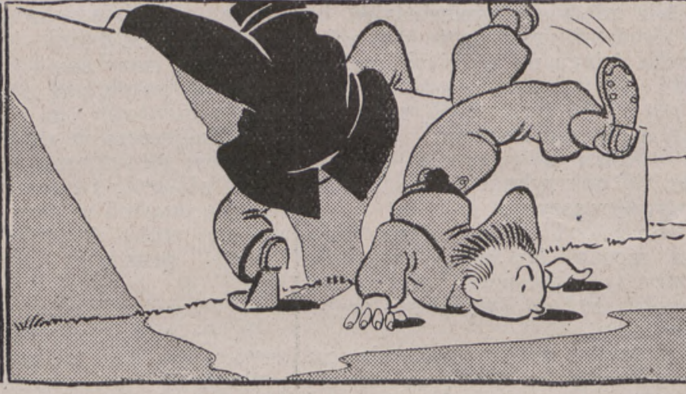
Waluś zadrżał, skamieniał,
Lecz w następnym momencie

Wybił broń z ręki szpiega
Jednym, silnym kopnięciem.



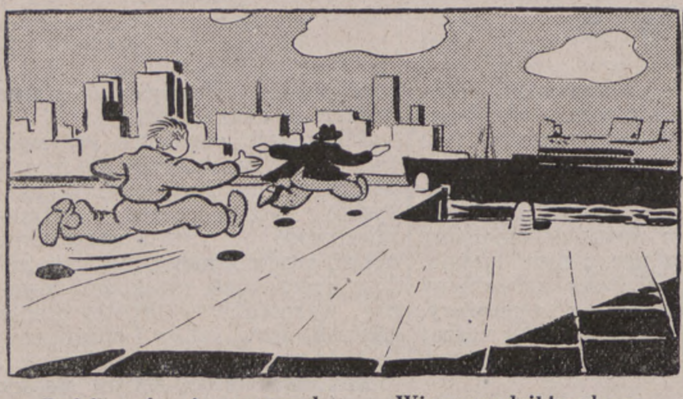
Szpieg ten nie był jednakże
Bity w głowę lub w ciemię:

Chwycił Pompkę za nogę
I z nim runął na ziemię.



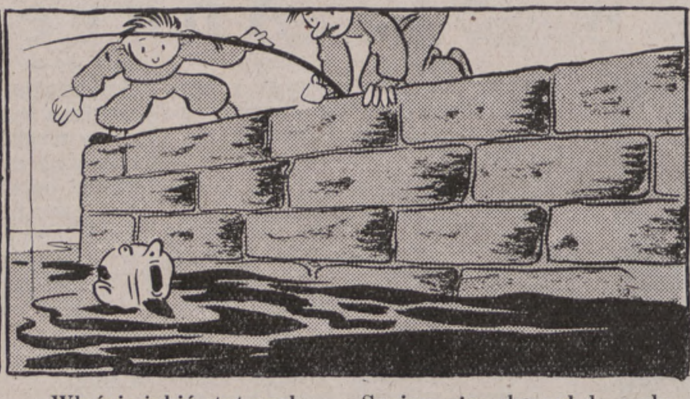
Raz był jeden na dole
To znów drugi brał górę,

W końcu szpieg się wywinął—
Uciekł skacząc przez murek.



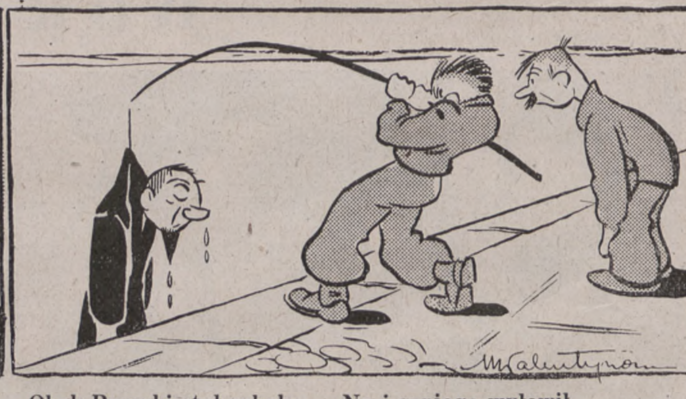
Pościg znów się rozpoczął.
Waluś nogi miał zdrowe,

Więc zapędził brodacza
Aż na molo portowe.



Właśnie jakiś stateczek
Już do mola dopływał—

Szpieg więc skoczył do wody
I pomocy przyzywał.



Obok Pompki stał rybak:
Chwycił wędkę Walenty—

No i szpiega wyłowił
Bez najmniejszej przynęty . . .

SPIS RZECZY:

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.